

## SĄDOWNICTWO RZEMIESLNICZE

Jerzy Dostatni

str. 6-7

## TYLKO JEDEN DZIEŃ

Władysław Huzik

str. 11

## POWIEŚĆ CZYTELNIKÓW „KAMENY”

str. 16

## HOROSKOPY



Z PRZY-  
MRUŻE-  
NIEM  
OKA

str. 13

czas. 2552/1976/4

ROK ZAŁOŻENIA 1933

# KAMENIA

LUBLIN 22 II 1976 Nr 4 (594)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

Eugeniusz Jewtuszenko

## PRZESIEKA

(Fragmenty poematu)

### PROLOG

Jam nie żadna artystka malarka,  
ani też żadna z uznanych róż.  
Jam sybirskich dróg polna babka  
ścieląca się pośród kół.

I wozy po mnie się toczyły,  
samochody, czołgi pelzły,  
chrzęszcząc — kielkowała w Rosji  
w gorzko-słodkiej ziemi.



Rys. D. Opolski

Jakby bujny oset roslam,  
kurzu wcale swego się nie wstyżąc —  
krew twoją, twoje lzy, epoko,  
wsysalam w swe głodne liście.

Asfalt niszczyłam, przyznaje,  
swej prostocie na przekór,  
na żywotność przerosła  
wytrzymałość człowieka.

Jak ślepy wiary  
tak ja korzeniami  
trzymałam się kurczowo ziemi  
przebijając przeszkadzający kamień.

Liście me krzywe i nietadne,  
do bukietów ich nikt nie daje,  
polnej babki nie jedzą w salacie,  
babkę polną do ran przykładają.

Dalszy ciąg na str. 9

## ROK 1971

● Załoga na osiedlu Swierczewskiego w Chełmie denerwuje się że zamiast o godz. 11, przywozi się zupe regeneracyjną o godz. 14 i później. ● Na zimę robotnicy nie narzekają, może częściowo dlatego, że akurat pofolgowała. ● W

ChPB dokonano zmian personalnych — nowym dyrektorem został Kazimierz Koszeliwicz, dotychczasowy kierownik Wydziału Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej PMRN w Chełmie. ● ChPB znów nie wykona tegorocznych zadań.

(Z prasy)

# DYREKTOR

Stanisław Jadczak

**Z**ASTAŁEM w przedsiębiorstwie stan ogromnego chaosu organizacyjnego, mnóstwo ponagłych od inwestorów domagających się szybkiego nadrobienia zaległości na budowach, rozdrażnionych pracowników. Przez cały kwartał przyglądałem się ludziom z którymi przyszło mi pracować. Taka socjologiczna analiza — na kogo i w jakim stopniu mogę liczyć. Potem zacząłem się włączać do procesu produkcyjnego,

wcielać w życie własne koncepcje organizacyjne dyskutowane z kolektywem. Nie wierzę w nieomyślność kolektywu. Nie wierzę też że kolektyw może być parawanem dla dyrektora. Pełną odpowiedzialność za przedsiębiorstwo ponoszę zawsze ja. Co naturalnie nie oznacza, że rola kolektywu ma być zdeprecjonowana. Stara rzymska zasada mówi: ile głów — tyle rozumów.

Dokończenie na str. 4-5

## Z ŻAŁOBNEJ KARTY

## ZBIGNIEW JAKUBIK



**Z**BYSZKU Jakże ciężko pisać do Ciebie ten ostatni list. Studiowałem się w Krakowie, tęskniłem za „okropnym” Lublinem i wtedy przychodziły te niezbędne do życia listy o... „Sekeji”. Bo przy Kole Polonistów KUL — a były to lata 1947/50 — istniała tak zwana „Sekcja Twórczości Własnej” i Ty byłeś jej organizatorem oraz pierwszym kierownikiem. Na wykłady, zebrania przychodziłeś z drenem w „straszonym” brzuchu, uparcie nie gojącym się po ranach odniesionych w Puszczy Solskiej. Wiedziało się bowiem: Zbyszek ma kompleks, że... „chuchro” rączki małe, szczupłe ramionka, mimo solidnych starań krawca spada z nich kurtka. A chciałoby się, żeby Herkules. I to serce. Mimo braku zdrowia i sił Zbyszek — i to się przecież także wiedziało — poszedł do konspiracji, brał udział w podziemnej walce zbrojnej, uważał to za męski obowiązek.

Po wojnie — wymarzona polonistyka jako droga do wysnianej literatury, do upragnionego pisanfa. Zbyszek miał wówczas w domu „bibliotekę” własnych dzieł, które zaplanował święcie napisać; były to na razie tylko tytuły, gdyż niestety — serce. Trzeba było sobie nakładać żelazne hamulce, wymierzać każdy wysiłek. A do „Sekeji” ciągnęło. Jeszcze jak! W „Sekeji” bowiem kipiło. Tyle utalentowanej młodzieży zbiegło się do niej: Jerzy

Dokończenie na str. 2

Uchwalenie przez Sejm PRL zmian w Konstytucji lipcowej 1952 r. stanowi niezwykle ważne wydarzenie w procesie kształtowania socjalistycznych stosunków społecznych oraz umacniania socjalistycznej państwowości polskiej. Doniosły akt sejmowy uwzględnił przemiany społeczno-gospodarcze dokonane w ciągu bez mała ćwierćwiecza, przemiany w strukturze i świadomości społecznej, a także nagromadzone doświadczenia budownictwa państwowego Polski Ludowej. Najważniejszym, podstawowym elementem zmian wprowadzonych do Konstytucji w dniu 10 lutego 1976 r. jest stwierdzenie socjalistycznego charakteru Polski Ludowej. W skali dziejów narodu i państwa polskiego fakt ten ma wymiar historyczny. Konstytucyjne ustalenie, iż Polska Rzeczpospolita Ludowa jest państwem socjalistycznym, stanowi zarazem ideę przewodnią całokształtu zmian dokonanych w ustawie zasadniczej.

„Trybuna Ludu”

Konstytucja PRL w brzmieniu przyjętym przez Sejm (...) stanowi m. in.: Przewodnią siłą polityczną społeczeństwa w budowie socjalizmu jest Polska Zjednoczona Partia Robotnicza. Współdziałanie Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, Stronnictwa Demokratycznego stanowi podstawę Frontu Jedności Narodu.

(...) Fundamentalną i uniwersalną cechą państwa socjalistycznego jest ludowładztwo. Podmiotem władzy w tym państwie jest lud pracujący miast i wsi. Władzy tej nie dzieli on z żadną klasą czy warstwą społeczną, żyjącą z wyzysku cudzej pracy. Ludowi pracującemu przewodzi klasa robotnicza, która jest główną, rozwijającą się i przekształcającą siebie i całe społeczeństwo klasą społeczną. Sojusz klasy robotniczej z chłopstwem i inteligencją stanowi podstawę społeczną państwa socjalistycznego. Klasa robotnicza spełnia swoją przewodnią rolę wśród ludu pracującego i w ca-

łym narodzie głównie za pośrednictwem swej partii marksistowsko-leninowskiej. Trwałe istnienie partii marksistowsko-leninowskiej i spełnianie przez nią roli kierowniczej siły politycznej w społeczeństwie jest nieodzowną, uniwersalną cechą każdego państwa socjalistycznego. Stanowi ona naturalną konsekwencję przewodniej roli klasy robotniczej w narodzie. Decyduje, z drugiej strony, o takiej

człowieka, stwarza warunki dla stałego rozwoju dobrobytu i stopniowego zacierania różnic między miastem a wsią, między pracą fizyczną a umysłową, otacza opieką rodzinną, macierzyństwo i wychowanie młodego obywatela, dba o stan zdrowotny społeczeństwa, rozwija i upowszechnia oświatę, zapewnia wszechstronny rozwój kultury narodowej i nauki, urzeczywistnia i rozwija demokrację socjalistyczną przez zapewnienie oby-

nowanie ogólnych reguł i zasad porządku społecznego, czynny udział w pracy ogółu i na rzecz interesu ogólnego. Podobnie zasada równości obywateli państwa socjalistycznego nie do pogodzenia jest z postawą konsumpcyjną jednych, a spełnianiem powinności innych osób czy władz. Egalitaryzm socjalistyczny oznacza równość wszystkich w zakresie i uprawnień i powinności — w pracy, w urzędzie, w środowisku społecznym, w stosunkach między władzami i obywatelami.

„Wiadomości”

# KONSTYTUCJA SOCJALISTYCZNEJ POLSKI

Na szczególną uwagę zasługuje (...) zmiana w artykule 3 (...) iż PRL w swej polityce kieruje się interesami narodu polskiego, jego suwerenności, niepodległości, bezpieczeństwa, woli pokoju i współpracy międzynarodowej; nawiązuje do szczytnych tradycji solidarności z siłami wolności i postępu, umacnia przyjaźń i współpracę ze Związkiem Socjalistycznych Republik Radzieckich i innymi państwami socjalistycznymi; opiera stosunki z państwami o odmiennych ustrojach społecznych na zasadach pokojowego współistnienia i współpracy.

Podobnie jak w sprawie dotyczącej struktur politycznych, określenie środków, z pomocą których Polska Ludowa pragnie zabezpieczyć swą suwerenność, jest nową formułą. (...) Środki te są godne konstytucyjnego zapisu, ponieważ stanowią historyczne osiągnięcie narodu, są gwarancją bezpiecznego i pokojowego rozwoju. Powojenne pokolenia Polaków mogą być dumne z tego, iż świadomie, dysponując ogromnym doświadczeniem historycznym, weszły na drogę przyjaźni i współpracy z narodami zamieszkującymi Kraj Rad. Umocnienie istniejących już więzów przyjaźni, rozszerzenie i pogłębienie współpracy z ZSRR jest najważniejszym zadaniem Polaków, których jednym z punktów orientacji jest już rok dwutysięczny.

„Polityka”

właśnie roli klasy robotniczej i o jej zdolności utrzymywania i umacniania sojuszu klasowego z pozostałymi klasami i warstwami ludzki pracy. Zapewnia socjalistyczny kierunek rozwoju państwa i całego społeczeństwa. Taka rola partii marksistowsko-leninowskiej jest konsekwencją historyczną walki ludu pracującego o władzę państwową oraz wyrasta z całego procesu budownictwa socjalizmu i komunizmu.

„Prawo i Życie”

Nowe przepisy postanawiają, że państwo nasze urzeczywistnia zasady sprawiedliwości społecznej, likwiduje wyzysk człowieka przez

watonom rozmaitych form udziału w sprawowaniu władzy, kontroli społecznej, składania wniosków i opinii. Podstawowy w całokształcie praw i obowiązków obywateli art. 57 Konstytucji ulega poważnemu uzupełnieniu: obywatele Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej mają równe prawa bez względu na płeć, urodzenie, wykształcenie, zawód, narodowość, rasę, wyznanie oraz pochodzenie i położenie społeczne.

Prawno-polityczne określenie sytuacji człowieka w socjalistycznym społeczeństwie miałyby cechą jednostronności, gdyby praw i wolności obywatelskich nie wiązało ze sprawami dyscypliny i powinności obywateli. Demokracja nie może oznaczać jedynie uprawnień obywateli — zakłada ona również posza-

## ZBIGNIEW JAKUBIK

Dokończenie ze str. 1

Krzysztoń, Anka Kowalska, Zbigniew Kościński, Maria Bogutówna, Paweł Heintsch, Mirosława Knorr, Stefan Zarębski, Zdzisław Łączkowski i tulu innych. Publiczne konkursy literackie, dyskusje, wycieczki, zaangażowanie profesorów takich jak Kleiner, Dłaska, Kawyn.

Przyciskając ręką chore serce, wyciszając zadyżkę, Zbyszek starał się być wszędzie z nami; miał tyle do powiedzenia, jego ścisły, logiczny, lotny umysł bystro rozstrzygał literackie dysputy, studenckie szermierki słowne. Ironia, sarkazm, czasem szyderstwo były kubłem zimnej wody dla bujających w obłokach. Właśnie wówczas ugruntowuje się w nim przewodnia w jego życiu idea: o znaczącym na mapie literackiej artystycznym Lublinie, o lubelskich księżkach, o pisarzach lubelskiego pochodzenia, do każdego talentu podchodził więc z respektem i wielką nadzieją.

Pokój na Cichej. W trudnych warunkach mieszkał tam Zbyszek z siostrą i siostrzeńcem, nie mogąc przy bardzo złym stanie zdrowia myśleć o usamodzielnieniu się, pracować i uczyć się. Któż z „Szekcji” nie zna tego mieszkania! Studenckie kieszonki były puste, na kawiarńnię brakowało pieniędzy, więc przy Zbyszkowej kawie i oszczędnie palonych papierosach terminowało się w rzemiośle. Zbyszek chciał nas uczynić „kapralami” literatury, co znacząco bardzo wiele. Musztrował nas ostro. Umiał pracować w oparciu o warsztat, na którego potrzebę wskazywał nam ciągle. Smakował każde słowo, zdanie, okres. Szukał brzmień i znaczeń przylegających, jedynych, świeżych. Za drobnym przymiotnikiem przekopywał się przez całe tomy literatury i opasłe słowniki. Pamiętam, jak męcząco pracowałam pod jego okiem nad opowiadaniem „Okazja”, gdy on wbił bezlitosnie ówki krytyczne w konstrukcję, styl, punkt. Z tryumfem pokazywał mi wtedy swój „urobek” — pół stroniczki jako plon całodziennego borykania się w materii słownej. Były to mistrzowskie kawalki prozy, lecz ja buntowałam się, rwałałam się do pisania wszystkiego do końca, licząc że potem poprawię. Zbyszek zaś kładł słowa i zdania obok siebie niby cegły pod pion. Gdy dziś zdarzy mi się w nie kontrolowany sposób „machnąć” na maszynie dłuższą par-

tię tekstu, od razu słyszę, Zbyszku, Twój karcący głos.

Przez „szkołę” Zbyszka przeszli Marysia Bogutówna, świetny talent satyryczny, Barbara i Wiktor Eysmontowie, Stefan Zarębski. Jego odkryciem i wielką przyjaźnią był Jerzy Krzysztoń. Pisał artykuły o grupie, torował jej drogę w prasie. Wielu jej członków wniosło trwałe wkład do literatury.

Zwyczaj pomagania początkującym talentom utrwalił się w Zbyszku na całe życie. Ograniczając ze względu na zdrowie swój udział w życiu środowiska, pielęgnuje przyjaźnie literackie, których sens to praca nad tekstami. W 1965 r. wyczuwając świetnie potrzebę chwili Zbyszek staje się organizatorem Lubelskiego Klubu Literackiego, który znowu skupia grono wybitnie utalentowanych osób. Młodzi literaci Lublina mieli to szczęście, że na początku drogi twórczej zetknęli się z wielką serdecznością i znanstwem starszego kolegi, który świadomie brał na siebie misję rozbudzania, kształtowania, rozwijania twórców. Nasze pierwsze książki omawialiśmy w jego obecności. Analizy Zbyszka były zawsze szczerze wnikliwie, inspirujące. Cieszył się każdym naszym sukcesem. Brał udział w wieczorkach, zapraszał do siebie, uczestniczył w jury konkursu im. J. Czechowicza, pomagał zorganizować Ogólnopolski Zjazd Młodych Literatów. To wszystko przy ciągłym zagrożeniu chorobą. Nie uczęszczał regularnie na zebrania Oddziału ZLP, bo serce, jeżeli chodziło o nasze, brał je twardo w rzyzy. Gdy pewnego razu jako opiekun Klubu jechał do Warszawy w jego sprawach, upadł na lubelskim dworcu, bo ono jednak odmówiło posłuszeństwa. Tak borykał się Zbyszek, starając się jednak służyć nam wiedzą i doświadczeniem literackim.

Tak. Byłeś dla nas wszystkich po prostu „Zbyszkiem”, ale to znaczy — nieocenionym Kolegą i Przyjacielem. Zegnaj. Tym razem czapki nie na bakier!). Czapki z głów!

Matylda Welna

\* „Czapki na bakier” — książka Zbigniewa Jakubika o temat walk w Puszczy Solskiej.

## STEFAN FUDKO

JUŻ nie żyje. Nie tak dawno kontaktowaliśmy się z Nim, widywaliśmy Go w gronie równych Mu wiekiem przyjaciół, spotykaliśmy w bramie domu przy ulicy Narutowicza, gdzie znalazł mieszkanie po okresie ruchliwej pracy spokojnej i ostatnie.

Stefan Fudko odszedł od nas na zawsze.

Był jednym z tych, którzy swój życiorys napisali współbieżnie z losami Polski Ludowej, bo od momentu narodzin demokratycznej władzy wspierał ją swoją aktywnością, a przecież przygotowywał jej powstanie jeszcze przed wojną, w tajnych szeregach młodzieżowej organizacji komunistycznej, więziony i prześladowany. Kiedy ustrój, o który walczył, stał się faktem, stanął w pierwszych szeregach jego bojowników, będąc najpierw pełnomocnikiem reformy rolnej, później sekretarzem Komitetu Powiatowego PPR, następnie burmistrzem Zamościa. Wielu mieszkańców miasta i jego okolic pamięta Stefana Fudkę z tego trudnego okresu, kiedy potrzeba była nie tylko formować pierwsze zreby nowej polskiej państwowości, ale w sytuacji współistnienia sprzecznych pozostałości w umysłach podejmować decyzje działające na rzecz mobilizacji do spokojnej i produktywniej pracy. Jego talent i poczucie sprawiedliwości na zawsze zostanie w pamięci współpracowników, kolegów i przyjaciół.

Szczególny powód do pochylenia się nad tą trumną ma lubelskie środowisko dziennikarskie. Zmarły był pracownikiem redakcji „Sztandaru Ludu” w czasie formowania się pierwszych doświadczeń w pracy ideowej i organizatorskiej partyjnego dziennika wojewódzkiego. Jego znajomość wsi i psychiki chłopca wiele pomogła w rozwiązywaniu problemów rolnych, które stały przed polskim społeczeństwem w całej swej nowości i skomplikowaniu. Jednakże nie tylko ściśle zawodowe kwalifikacje Zmarłego zapisały się na jasnych kartach lubelskiego dziennikarstwa. Wiele tu było serdeczności i koleżeństwa i chęci do udzielania pomocy, mi dym. Należał do tych, którzy nie wrywają się — a pierwszy plan uznania, pozostawiał na pozycjach obowiązku, a nie zabiegów o zaszczyty. Czasem nawet zdumiewało, że ten zasłużony działacz propagandowy i organizacyjny przyznaje sobie tak niewidoczny odcinek zadań, ale ten mu dawał wystarczającą satysfakcję. Jeśli przychylny się do wyprodukowania realnego wkładu w dzieło ogólnej poprawy

Stefan Fudko aczkolwiek przez nadszarpnięte zdrowie nie zachował do końca aktywności zawodowej, a nawet towarzyskiej, to jednak zawsze w swym środowisku ceniony był przez zalety charakteru, przez ludzkie wartości, których świadectwo składał swym życiem i działalnością. Odszedł od nas prawy człowiek, syn klasy robotniczej, zasłużony działacz rewolucyjny. Zostawił po sobie dobrą pamięć, zostawił dobry przykład.

Zygmunt Mikulski

# 30-LECIE ORMO

JEST rzeczą znaną, iż po wyzwoleniu Lubelszczyzna stała się terenem szczególnie intensywnych wystąpień zbrojnych kontrrewolucyjnego podziemia. Spośród ludzi, którzy z bronią w ręku wystąpili przeciwko nowej władzy w Polsce, blisko jedna trzecia grupowała się w oddziałach leśnych na Lubelszczyźnie i nasilenie walk przypominało momentami wojnę domową. Posterunki MO, szczególnie terenowe, były wówczas nieliczne i słabo obsadzone, ludność zaś gnębiona „kontrybucjami” i szykanowana politycznie przez „chłopców z lasu”.

W tym układzie na południowo-wschodnich terenach regionu nastąpiła samorzutna reaktywacja okupacyjnych Społecznych Oddziałów Pogotowia, wylonionych uprzednio z miejscowej ludności dla przeciwstawiania się Niemcom i policji ukraińskiej, a teraz mających na widoku ochronę przed przemocami reakcyjnego podziemia. Ten spontaniczny ruch w latach 1944 — 1945 objął zresztą cały kraj. Na zachodnich ziemiach Polski działała Ochotnicza Straż Obywatelska. W innych rejonach Ochotnicze Grupy Ochronne, Wiejska Straż Porządkowa. Zmordowani okupacją niemiecką ludzie chcieli po prostu zacząć spokojnie żyć, ale czas był jeszcze nie po temu, a sytuacja trudna i niebezpieczna. W sierpniu 1945 roku KW PPR w Lublinie postanawia uzbroić komórki partyjne oraz część lojalnych wobec nowego porządku obywateli. Toteż uchwała Rady Ministrów z dnia 21 lutego 1946 roku, powołująca Ochotniczą Rezerwę Milicji Obywatelskiej, nie tyle ustanawia nową organizację, ile sankcjonuje na terenie całego kraju istniejący już od około półtora roku spontaniczny ruch obywatelski skierowany przeciwko burzycielom ustrojowego ładu i zwolennikom zamętu.

Tak więc korzeniami swoimi wyrosło ORMO ze zwyczajnej ludzkiej potrzeby życia godnego i porządnego, potrzeby wspólnej wszystkim obywatelom, niezależnie od ich osobistych przekonań czy wiar. Dość powiedzieć, iż pierwotnie większość ormowców byli to ludzie nie należący do żadnego stronnictwa politycznego czy partii. Tyle że potrafiący zobaczyć swoje miejsce w nowym kraju, gdyż tego wyboru nie wolno było wówczas obejść, i w tym zakresie sytuacja wymagała określenia się. Powstało ORMO jako organizacja ludzi dobrej woli, których w terenie zwano „milicją wiejską”, „milicją honorową”, „milicją pomocniczą”.

Alle sytuacja wymagała określonych działań. Toteż ORMO poczyniła kształtowała się jako ochotnicza zbrojna formacja paramilitarna, zorganizowana wedle wzorów wojskowych, podzielona w swej strukturze na drużyny, plutony,

kompanie, bataliony i mająca zbrojnie wspierać organa milicji i bezpieczeństwa oraz wojsko w bezpośredniej walce z reakcją. Odpowiedni dekret z 14 kwietnia 1948 roku równa w prawach rodziny poległych ormowców z rodzinami poległych żołnierzy, pracowników MO i UB. Bo jeśli nawet w historii ORMO był moment chwilowego osłabienia działań w połowie lat pięćdziesiątych, a młode pokolenie usiłowało dowcipkować w stylu: „Spój spokojnie, ORMO czuwa”, to trzeba wyraźnie powiedzieć, iż w latach dla kraju najcięższych i najważniejszych dla kształtowania się ustroju ormowcy zapisałi swoją kartę najjaskrawiej, bo własną krwią i własnym potem. Na Lubelszczyźnie w walkach z reakcyjnym podziemiem poległo 205 członków ORMO.

I jeszcze trzeba dodać, że w miarę krepnięcia organizacji, od momentu jej powstania oficjalnego, szeregi ormowców poczęli masowo zasilać członkowie PPR. Wzrostła o wartościowy element ludzki, była w owych krwawych latach ta organizacja nieocenioną wprost pomocą dla milicji i wojska. To ormowcy bowiem najlepiej znali teren, na którym przyszło im wspierać milicję i wojsko, gdyż na tym terenie żyli, zamieszkiwali. I tutaj też niejednokrotnie przyszło im zginąć, jak choćby sierżantowi Henrykowi Kasperkowi, komendantowi powiatowemu ORMO w Białej Podlaskiej, zamordowanemu 25 października 1946 roku. A śmierć człowieka w walce o to, by inni mogli żyć spokojnie, posiada w historii największą siłę przebiecia. I zawsze się będzie pamiętać — a jednak ginęli... Szesnastoletni niekiedy chłopcy.

Swoją pierwszy masowy egzamin zdała organizacja podczas referendum ludowego w 1946 roku, a drugi podczas wyborów do sejmiku w roku następnym. Na terenie kraju około 30 000 ormowców chroniło lokale wyborcze, obwoły głosowania. W obronie lokalu obwodowej komisji wyborczej w Zwierzyńcu koło Zamościa poległo pięciu ormowców. Zaatakowała ich czterdziestoosobowa NSZ-towska grupa „Bohuna”, ciała poległych NSZ-towcy obalali benzyną i podpaliłi...

W późniejszych latach stawały przed organizacją nowe, coraz bardziej samodzielne zadania: poważny udział w walce ze spekulacją, bimbrownictwem, w akcjach pomocy sąsiedzkiej, akcjach siewnych, w zwalczaniu anarchii na drogach, chuligaństwa. ORMO tworzy własne drużyny sportowe, domy kultury nawet, biblioteki, zespoły amatorskie. Zmieniają się warunki historyczne, krepną państwowe organa porządku i bezpieczeństwa publicznego, do pomocy którym organizację pierwotnie powołano, zostaje zlikwidowane reakcyjne podziemie. W sposób naturalny ORMO poczyniła zatracać swe parami-

litarne funkcje na rzecz zadań wychowawczo-profilaktycznych. Przystaje mieć sens wojskowa struktura organizacji.

Lecz rozbrojenie ORMO, zrozumiałe przede wszystkim w następnych latach, nie najszybsze może, przekazywanie ormowskiego sprzętu sportowego i kulturalnego innym organizacjom rodzi pośród bardziej krótkowzrocznych członków ORMO niepokój niezasadniony, iż organizację się likwiduje. Tymczasem idzie o dostosowanie jej statusu i struktury do zmienionych warunków w kraju, co usankcjonują potem odpowiednie ustawy państwowe, jak choćby statut organizacji.

Dziś obok struktur terytorialnych, związanych z miejscem pracy czy zamieszkania członków organizacji, ORMO koncentruje swe zabiegi wokół

wane przez członków ORMO. Bo jeszcze trzeba by sporo mówić o kwestiach ochrony porządku na kolei, o korbach, członkach ormowskiej organizacji, działających na niwie zapobiegania przestępczości nieletnich, o ochronie zakładów pracy, dbałości o porządek i spokój w osiedlach (a kto wie, co się czasem zdarza wieczorową porą na lubelskiej „Kalinie”, ten i tak dalej...). Trzeba by też mówić o coraz szerszym wciąganiu do pracy w ORMO, i do współpracy, młodzieży, studenckiej także. Należałoby wspomnieć o związanej z ostatnią reformą administracji tendencji do rozbudowywania gminnych struktur ORMO. I to jest bodaj najważniejsze.

Nie o to jednak — powtarzam — w tej chwili idzie. Dla zobrazowania

## POSPOLITE RUSZENIE OBYWATELSKIE

Wojciech Kurhan

zadań specjalistycznych, a głównie, choć nie wyłącznie, wokół spraw ruchu drogowego. Gdzieś od około 1960 r. notuje się w Polsce wyraźny wzrost natężenia tego ruchu. W 1962 roku zaczęły powstawać w kraju specjalistyczne jednostki drogowe ORMO, zrzeszające częstokroć tegich fachowców z tej branży. Stoimy w przededniu „małej rewolucji” motoryzacyjnej w Polsce i żadna profilaktyka w zakresie bezpieczeństwa ruchu drogowego nie może być obojętna.

Liczne pogadanki dla młodzieży szkolnej, które przeprowadzają ormowcy-społeczni inspektorzy ruchu drogowego, są tylko pozornie błahą formą pracy. Jeśli w rezultacie tysiąca takich pogadań da się uniknąć śmierci przynajmniej jednego dziecka na drodze, to już cała robota ma głęboki sens. A przecież tu jeszcze wchodzi w grę przeprowadzane wspólnie z MO kontrole pojazdów na drogach, szczególnie wozów konnych i ciągników na drogach lądowych, wiejskich. Wiadomo bowiem, że znajomość i dbałość o przepisy drogowe w środowiskach wiejskich przedstawia się raczej miernie. Nieoświetlona zaś furmanka na drodze w nocy to niemal pewność poważnego wypadku.

Następne zadanie organizacji zawiera się w ochronie wód. Zapobieganie kłusownictwu, ochrona kąpielisk. Kto wie, co się dzieje nad jeziorem Białym w sezonie letnim, ten zrozumie, jak nieoceniona jest tutaj każda pomoc w zapobieganiu przypadkom utonięć. Nie każdy też obywatel rozumie konieczność zameldowania, iż na przykład rzeką płyną ścieki przemysłowe i zatrute ryby. Każdy ormowiec ma statutowy obowiązek poinformować o tym odpowiednie władze. I znowu najmniej różowa sytuacja w zakresie bezpieczeństwa wód, kłusownictwa, kształtuje się — ze względów naturalnych — na wsi, i jest to rejon, na który trzeba zwrócić szczególną uwagę w tym względzie.

Nie idzie mi o to, by rozpisać drobniogowo wszelkie zadania, wykony-

wszystkich tych wysiłków niech starczy jeden fakt statystyczny. Ormowcy województwa lubelskiego w roku ubiegłym wykonali 1 149 785 godzin rozmaitych służb, co w przeliczeniu na jednego członka organizacji znacznie przekracza obowiązki statutowe. Obok chłopów i robotników coraz większy udział w organizacji bierze ostatnio inteligencja. Poza dużą grupą członków PZPR a także stronnictw politycznych, należy do ORMO wiele osób bezpartyjnych. Byłyby to więc — że tak powiem — działania jednolitofrontowe w imię spokojnego, rozumnego i gospodarnego życia. Działania przy tym wykonywane z pobudek najsłabszych, alewem bezinteresownych. Nikt tym ludziom za nic nie płaci, a obowiązki swe wykonują z nadwyżką.

Na przestrzeni swej historii przekształciło się ORMO z paramilitarnej organizacji pomocniczej dla państwowych organów ochrony bezpieczeństwa i porządku publicznego w niezależną społeczną organizację o charakterze samorządowym, w rodzaj stowarzyszenia wyższej użyteczności publicznej. Ważne jest, by — jak z okazji 25-lecia ORMO powiedział dr Jerzy Blaim — „członkowie ORMO traktowali swoją działalność jako społeczną służbę publiczną, a nie sprawowanie władzy”, i że gdy w przyszłości s-cjalistyczna państwowość przekształci się w komunistyczny samorząd, organizacje społeczne typu ormowskiego poczną przejmować funkcje organów państwowych, jak choćby funkcje profilaktyczne w dziedzinie porządku publicznego.

Myśle, iż te stwierdzenia nie straciły aktualności i teraz, kiedy ORMO obchodzi swe 30-lecie. Już dzisiaj można powiedzieć, że ORMO dokonuje jakby powrotu do swych najgłębszych źródeł, przy czym byłby to powrót wzbożony o nowe, zasadnicze jakości, które się zawierają w aktualnych zadaniach profilaktyczno-wychowawczych kraju, sterującego w nowoczesność.

## KARUZELA

WSZYSCY chcemy, aby produkować więcej różnych wyrobów, budować więcej mieszkań, fabryk, dróg. I dużo, coraz więcej się z tego realizuje, ale wciąż jeszcze nie wszystko, co rzeczywiście jest potrzebne. Nie wszystko dlatego, że dosyć rozrzuć gospodarujemy pracą ludzką.

Ekonomiści wyliczyli, że wskutek zmiany miejsca pracy człowiek traci przeciętnie osiem dni. Na znalezienie nowego pracodawcy, na załatwienie formalności i tam, na tzw. odetchnięcie pomiędzy jednym a drugim zatrudnieniem. A potem adaptacja w nowych warunkach — inne środowisko, inna organizacja pracy, nieco lub mocno inny zakres czynności. To znów trwa tydzień, dwa tygodnie, czasem nawet dłużej. W tym czasie wydajność pracy jest niższa od normalnej.

A teraz zajrzyjmy do opracowania, sporządzonego przez Wydział Zatrudnienia Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie. Zbadano tzw. fluktuację załóg w 38 większych przedsiębiorstwach przemysłowych

i budowlanych w ciągu dziesięciu miesięcy ub. roku.

Okazuje się, że w przemyśle zwalnia się każdego roku co osmy pracownik, w budownictwie — więcej niż co czwarty. Te liczby dotyczą pracowników fizycznych, ale wbrew powszechnemu sądowi wskaźnik pracowników umysłowych jest nieco tylko mniejszy i nie wpływa w sposób istotny na zmianę sytuacji. A czasem znacznie ją pogarsza: w lubartowskich Zakładach Radiowych zmieniło się 40 proc. kadry inżyniersko-technicznej, w pobliskiej garbarni — 32 proc., w lubelskiej Pracowni Konserwacji Zabytków — 23 proc., w tym dwóch inżynierów, którzy dopiero w sądzie wygrali spór o wypłacenie dosyć wysokiej premii. Jednak niewątpliwym rekordzistą jest Rejonowe Przedsiębiorstwo Melioracyjne w Opolu Lubelskim, gdzie w ciągu roku zmieniło się prawie 98 proc. robotników!

Ta fluktuacyjna karuzela ludzi dosyć skutecznie hamuje nasze zarówno za-

mierzenia jak i aktualnie wykonywaną pracę. Powstaje więc pytanie, co wprawia w ruch ową karuzelę?

W pewnych wymiarach zmiana miejsca pracy jest nawet pożądana, przyczynia się do podnoszenia kwalifikacji, lepszego wykorzystania umiejętności ludzkich. Zdaniem fachowców powinno się to jednak zamykać w granicach 3-4 procent. Reszta jest wynikiem istniejących w wielu przedsiębiorstwach nieprawidłowości. Zła organizacja pracy, złe warunki socjalno-bytowe, nieodpowiednie stosunki międzyludzkie, schematyczne, a nie zależne od wyników pracy przyznawanie grup uposażenia, premii i nagród — wszystko to zniechęca ludzi, nakłania ich do zmiany miejsca pracy.

Brak nam również dyscypliny wewnętrznej, poszanowania prawa. W przemyśle co piąty, a w budownictwie co trzeci pracownik zmieniający miejsce pracy po prostu porzuca ją bez wypowiedzenia. I często w nowym miejscu zostaje przyjęty z otwartymi rękami — bywają nawet wypadki zwykłego kaperownictwa. Od maja 1973 roku obowiązuje uchwała Rady Ministrów, nakazująca przyznawanie takim ludziom niższego wynagrodzenia niż w poprzednim miejscu pracy. Ten ekonomiczny hamulec jest jednak w praktyce rzadko stosowany.

I ostatnie stwierdzenie: prawie we wszystkich przedsiębiorstwach, w których fluktuacja kadr jest nadmierną, w końcowych wskaźnikach ekonomicznych wystąpiły nieprawidłowe relacje. Istnieją uzasadnione przesłanki do stwierdzenia, że tam, gdzie te nieprawidłowości w sposób jaskrawy nie wystąpiły, po prostu plany były mobilizujące.

W stosunku do jedenastu zakładów pracy, w których omawiane nieprawidłowości występują w sposób nagminny, wojewoda lubelski wystąpił do odpowiednich władz o wyciągnięcie sankcji służbowych w stosunku do osób, odpowiedzialnych za ten stan rzeczy, a także podjęcie odpowiednich środków zaradczych. Wyciągnięcie sankcji oraz podjęcie środków zaradczych ułatwi kompleksowa kontrola gospodarki tzw. czynnikami ludzkimi.

Alle warto również, aby sprawę przemysłał każdy z nas. Bo albo my sami, albo zbyt wielu ludzi w naszym najbliższym otoczeniu przyczynia się do zmniejszenia efektywności wspólnego gospodarowania w sposób, o jakim mowa.

(dost)

Kamena str. 3

# DYREKTOR

Pierwsza z nowych koncepcji organizacyjnych, którą zastosowaliśmy w przedsiębiorstwie, to przejście na system brygad kompleksowych, przejmujących określony zakres robót na warunkach umowy o dzieło. W tym akordowym systemie ludzie im szybciej i lepiej pracują, tym wyższe mają zarobki. Mimo wszystko nie wykonaliśmy zadań 1971 r., nie zdołaliśmy przerobić 80 mln zł. Chelmskie Przedsiębiorstwo Budowlane uplasowało się w tym roku na ostatnim miejscu wśród przedsiębiorstw zgrupowanych w Lubelskim Zjednoczeniu Budownictwa. Był to niewesoły prognostyk na całą pięcioletkę.

## ROK 1972

● Dobrze pracują budowlani z ChPB wznoszący osiedle mieszkaniowe dla pracowników budujących się w Chełmie wielkich zakładów obuwia. ● Jako pierwsza na apel Sekretariatu KC i Prezydium Rządu o podjęciu ponadplanowej produkcji odpowiedziała załoga ChPB. Budowlani skrócili cykl budowy domu o 439 izbach na osiedlu Świerczewskiego aż o 3 miesiące. ● ChPB przystąpiło do wznoszenia biuro dla PMRN w Chełmie. Obiekt ma być gotowy w 1974 roku, ale być może coraz lepiej pracująca załoga ChPB przyspieszy termin przekazania go do użytku.

(Z prasy)

W budownictwie najważniejszym zagadnieniem jest właściwe przygotowanie inwestycji. Zbyt późne decyzje są przyczyną wielkiej improvizacji na budowie. W oficjalnych sprawozdaniach nazywa się to potem operatywnością służb przedsiębiorstwa, zaczyna działać system z filmu „Uszczelka” itd. Jest bieżączka, szarpanina, widać, że ludzie są autentycznie zaangażowani, ale jest to jednocześnie marnowanie pieniędzy, energii i czasu. Nie ma dokumentacji, nie ma uzbrojenia terenu, a od nas już się żąda efektów. Wychodzą potem takie sytuacje jak z masarnią w Hrubieszowie — półroczny przestój. Projektant przewidział zastosowanie płyt stropowych SPS nigdzie w kraju nie produkowanych. Wszystko działo się — tą inwestycją w ostatniej chwili i potem musieliśmy przez pół roku szukać producenta, który zrobiłby takie płyty. Znalazł się na Białostocczyźnie, ale taki, że nawet cement trzeba mu z Chełma dowieźć.

Inny problem, który chcę rozwiązać, to wykorzystanie środków i czasu pracy. Kierownik budowy źle zaplanował roboty, niekonsekwentnie realizował harmonogram robót; brygada potrzebna jest gdzieś indziej, a ona się grzebie jeszcze na tej pierwszej budowie. Mamy mało wind, a tu okazuje się, że kierownik budowy zapomniał powiadomić bazę, że winda jest mu już nie potrzebna.

Niefrasobliwość ludzka bardzo przeszkadza, wielką sztuką jest zmobilizowanie ludzi w momentach kryzysowych. Żeby w porę przyszedł wstrząs, samoopamiętanie, samoanaliza, czy ja dobrze robię, dlaczego ja źle zrobiłem? Sam każdego dnia wieczorem robię taki rachunek sumienia. To jest nawyk, jak obowiązkowe czytanie gazety. Analizuję przebieg dnia, planuję pracę na dzień następny i w perspektywie przygotowuję motywację decyzji. Nie wydaję żadnej decyzji bez motywacji, pracownik musi być przekonany że to, co robi, jest słuszne z punktu widzenia społecznego, kolektywu czy indywidualnego człowieka, że decyzja gwarantuje najlepsze wykonanie zadań. Decyzja bez motywacji oznacza dryl, musztrę.

I tu sprawa tzw. frontów buforowych. To fundamentalna zasada w naszym przedsiębiorstwie — przygotować wcześniej roboty zastępcze. Są często sytuacje, że na jakiejś budowie skończył się materiał, czegoś tam — a czas nie dowiedzieli i od razu zaczynają się gorączkowe poszukiwania, co tu dać do roboty ludziom, którzy zamiast pracować i zarabiać, siedzą i mają pretensje do władzy w ogóle, a szczególnie do dyrektora i kierownika. Decyzja z motywacją o ich przetruceniu na front zastępczy rozładuje atmosferę.

## ROK 1973

● 367 mieszkań wybuduje w br. ChPB. ● Zetemesowcy z ChPB rozpoczęli budowę domu patronackiego. Chcą ją zakończyć w ciągu 5 miesięcy — takiego tempa na Lubelszczyźnie jeszcze nie było. ● Z przedsiębiorstw budowlanych najlepsze wyniki w I półroczu osiągnęło ChPB: ponad 107 proc. planu. ● ChPB jeszcze nie tak dawno uchodzące za najgorsze w województwie, obecnie wyraźnie przoduje. ● Ruszyła budowa hotelu miejskiego o 105 pokojach 2 osobowych i 5 apartamentach. Wykonawcą tej niezwykle dla miasta potrzebnej inwestycji jest ChPB.

(Z prasy)

Coraz lepiej działo się w naszym przedsiębiorstwie. Odrobiliśmy zaległości 1971 r., przekroczyliśmy planowe zadania 1972 r. Od KC PZPR i Rady

Kamena str. 4

Ministrów przedsiębiorstwo otrzymało dyplom uznania. Władze i społeczeństwo zaczęły zmieniać opinię o nas. Już nie byliśmy najgorsi w województwie, można było na nas polegać. Koncepcje organizacyjne sprawdziły się, wszystkie tryby zaczęły się obracać w przyspieszonym rytmie.

Ale były także trudności, których przyczyną tkwiły na zewnątrz. Najbardziej kłopotliwy był dla nas brak wytwórni prefabrykatów. Według rozdzielnika LZB dostajemy prefabrykaty z „Lubbetu”. Puław i Biłgoraja, ogromna mozaika, skorelowanie łostaw to zupełnie szatańska sprawa. Najbardziej nawala Biłgoraj — facetów zupełnie nie można ugryźć, zawsze mają kłopoty z produkcją płyt dla nas, a jak już coś wyprodukowali, okazało się, że nie ma tego czym przewieźć do Chełma. Powiedziałem kiedyś w LZB, że z równym skutkiem mogliby mi przydzielić producenta płyt na Wyspach Bahama, to też zaczyna się na „B”.

Pod koniec roku okazało się, że Zamość otrzyma „fabrykę domów”. Lokalizacja inwestycji była u nas czasem co najmniej sporna. Zamość nie ma cementu, piasku i kruszywa, materiałów niezbędnych do wytwarzania elementów budowlanych. Wszystko trzeba dowozić, to podraża koszty. Z tego wszystkiego Chełm nie ma tylko kruszywa. Ale rachunek ekonomiczny nie zawsze decyduje o lokalizacji.

## ROK 1974

● W ramach „banku 30 miliardów” załoga ChPB zbudowała 135 izb mieszkalnych więcej niż zakładał plan. W br. ChPB zbuduje 469 mieszkań. ● 10-tygodniowe mieszkanie patronackie w kraju i tysiącnie w województwie lubelskim oddano do użytku 22 lipca w Chełmie. Wykonawcą „Jubilata” było ChPB. ● Junacy z ChPB jeżdżą na wycieczki, chodzą na rajdy, biorą udział w rozgrywkach sportowych i czynach społecznych na rzecz miasta i hufca.

(Z prasy)

Uplasowaliśmy się w 1973 roku na II miejscu w LZB. Dostaliśmy list gratulacyjny od tow. Edwarda Gierka i tow. Piotra Jaroszewicza. Zaczęła się krystalizować sprawa budowy przez nasze przedsiębiorstwo obiektów w Mongolii. LZB wytypowało do tej eksportowej pracy tylko nas. Sprawa jednak upadła ze względu na niedobór mocy zjednoczenia i konieczność budowy przez przedsiębiorstwa terenowe mieszkań w Lublinie. Żle się stało, że nie wyszliśmy poza opłotki — eksport to jest magnes dla ludzi, takie przedsiębiorstwo nie

Niezbędną wymianę kadry zapewnić może nam wyłącznie własna szkoła przyzakładowa. Szkoły budowlane będące w gestii kuratorium nie mają sensu istnienia. Ja uczniowi płacę pensję, munduruję go, uczę na budowach nowoczesnej technologii. A w normalnej budowlance nic z tych rzeczy. Ponadto szkoła przyzakładowa od wczesnej młodości integruje młodego człowieka z przyszłym zakładem pracy, uczy dobrej roboty nie werbalnie, ale namacalnie. Stać nas na szkołę z internatem, basenem, chcemy stworzyć młodzieży dobre warunki, przyciągać do przedsiębiorstwa nie margines, ale wartościowych ludzi. Musimy przygotować kadry do tego ciężkiego, ale i pięknego zawodu. I to moim zdaniem jest droga rozwiązania problemu fluktuacji w zawodzie, podniesienia jego rangi.

## ROK 1975

● Centrum sportowe za 120 mln złotych zbuduje w Chełmie w przyszłej 5-letce ChPB. ● W ostatnich dwóch latach budowlani wzniesli w Chełmie 917 mieszkań, w tym 241 ponad plan. ● ChPB zawsze było dla nas życzliwym partnerem — stwierdza naczelnik Hrubieszowa, A. Tywoniuk. ● Jeszcze jeden dom patronacki buduje Chełmie ChPB. Młode pracownice ZOZ wznoszą czwarty budynek patronacki o 50 mieszkaniach.

(Z prasy)

Stanowisko dyrektora w przedsiębiorstwie budowlanym stwarza tyle trudności życiowych, stresowych sytuacji własnych i tych sprokurowanych napięciami zewnętrznymi, że czasami, gdy człowiek jest już czterdziestolatkiem, przychodzi myśl o rzuceniu tego wszystkiego. Ale zaraz następuje opamiętanie — gdy widzę satysfakcję ludzi wprowadzających się do nowych mieszkań, uśmiech dzieci po raz pierwszy przekraczających próg nowej szkoły, zadowolenie lekarzy i pacjentów z nowego szpitala, i wtedy myślę nie o odejściu, a o tym, co by jeszcze zrobić, żeby budować szybciej i lepiej.

Prawda jest brutalna: budowlani na wdzięczność mogą liczyć tylko w momencie przekazywania obiektu do użytku. Przedtem jest presja inwestora i społeczeństwa — dlaczego nie przekazujecie? Potem ci sami ludzie zaczynają krzyżeć, że na osiedlu nie jest jeszcze zrobiona kosmetyka, że są usterki. Odwieczny problem w naszym kraju, co jest ważniejsze: budować nowe mieszkania, czy układać chodniki? Ponieważ już jesienią 1974 r. wykonaliśmy pięcioletkę w mieszkaniówce w Chełmie, zostaliśmy oddelegowani do budowy



Kazimierz Koszetowicz

Fot. K. Bichler

borych się z kłopotami kadrowymi, pewnie uzyski dewizowe można przeznaczyć na zakup nowoczesnego sprzętu itd. Ukończyłem SGPiS, z wykształcenia jestem ekonomistą, specjalistą od handlu zagranicznego i stąd te eksportowe ciągoty. Chciałem pobandlować.

Wracając do kadry, mam sporo ludzi pracujących w przedsiębiorstwie kilkanaście lat, ale fluktuacja w budownictwie jest wciąż ogromna. Klienta była symbolem cenionego zawodu w latach pięćdziesiątych, potem ranga zawodu budowlanego znacznie spadła.

mieszkań w Lublinie. Nie było to najszybsze rozwiązanie. Do Lublina muszę nawet sprzątaczkę wozić. W praktyce wygląda to tak, że najpierw w każdy poniedziałek dowozi się ludzi ze wsi do Chełma, potem do Lublina. W ten sposób poniedziałek jest z głowy. Podobnie w sobotę — już od rana wszyscy szykują się na jazdę do domu. Mamy więc 4 dni efektywnej pracy i ogromne koszty dojazdów.

Kończyliśmy tę pięcioletkę ze świadomością, iż był to nie tylko płodny okres dla naszego przedsiębiorstwa, ChPB wybudowało w tym czasie 95

obiekty o powierzchni użytkowej 165 tys. m kw. oddaliśmy do użytku 2326 mieszkań, tj. 560 ponad plan, w tym 130 mieszkań wzniesionych w ramach patronatu ZMS. Wydajność pracy wzrosła w tym okresie o 48 proc. Znacznie wzrosły zarobki tysiącosobowej załogi. 200 robotników ChPB otrzymało własne mieszkania.

## ROK 1976

• Aby rozwiązać trudną sytuację mieszkaniową w Chełmie, trzeba wybudować około 6 tys. mieszkań. Realizacji tego zadania podjęła się załoga ChPB.

(Z prasy)

Ponieważ budujemy w województwie chełmskim, zamojskim i lubelskim, a zależy nam przede wszystkim na mieszkaniach w woj. chełmskim, postawiłem sprawę jednoznacznie: dynamika wzrostu produkcji musi być u nas wyższa niż gdzie indziej. Jestem zwolennikiem jak najwyższego ustalenia planu. Nawet jeśli się człowiek potknie, to jednak można przy wysoko założonej poprzednio ująć i wykorzystać wszystkie rezerwy.

Jakie widzę rezerwy? Przede wszystkim zmieniamy zasadniczo system sterowania produkcją na budowie. Jego podstawą jest zbliżenie nadzoru do robotnika i specjalizacja majstrów. Powołujemy dwa podstawowe ciągi produkcyjne — stanu surowego (montażowego) i stanu wykończeniowego; na ich czele stoją kierownicy robót, a nie kierownicy grup robót jak dotychczas. Każdy ma swoich majstrów i specjalistyczne brygady. Dotąd nawet na niewielkiej budowie z 3-4 robotnikami kierownik musiał mieć majstra. Teraz sprowadzamy sprawę do 10 dużych kierownictw i lepszego wykorzystania ludzi i sprzętu. Kierownik budowy jest ten sam, zmieniają się majstrowie ciągów i ich brygady. Gdy brygady montażowe zakończą swoje prace, przechodzą na następną budowę, po nich przychodzą brygady wykończeniowe itd.

Wprowadzamy także nową postać: zastępcę kierownika budowy. I to nie ze względu na prawo Parkinsona ale taka jest potrzeba. Wszyscy kierownicy budów we wszystkich przedsiębiorstwach budowlanych mają po 60-80 dni zaległych urlopów. Kierownik budowy nie wolno iść na urlop, nie wolno chorować, nie wolno nawet umrzeć, bo najpierw musi rozliczyć budowę, jako że odpowiada za nią materialnie, a natychmiast po tym dostaje nową budowę. Zastępca będzie także odpowiedzialny materialnie i dzięki temu unikniemy skomplikowanej operacji rozliczania budowy przy jej przekazywaniu w wypadku, gdy kierownik będzie iść na urlop lub zachoruje.

Zgłosiliśmy także udział w konkursie CRZZ „Szukamy więcej mieszkań”. ChPB na terenie przygotowanym i wskazanym przez Wojewódzką Spółdzielnię Mieszkaniową oraz w oparciu o dokumentację spółdzielni robi stany surowe budynków, a nasi kontrahenci — chełmskie zakłady pracy — sami je wykańczają. Obowiązuje zasada pełnego odpracowania wkładu mieszkaniowego na takiej budowie. Już wznosimy dwa budynki 30-rodzinne razem z WSM, dwa budynki dla Kombinat Cementowego, ruszamy z budową dla WPBK. W sumie mamy w tym roku dodatkowo 210 mieszkań. To spory zastrzyk, prawda?

Razem z WSM opracowujemy także technologię budowy domków jednorodzinnych z wielkiego bloku. Będziemy montować te domki, a ich właściciele zajmą się pracami wykończeniowymi. To nonsens, że pozwalamy sobie na budownictwo indywidualne z cegły której brakuje, a w dodatku taka technologia oznacza marnotrawstwo wykwalifikowanej siły roboczej. Majster murarski postawi w sezonie jeden taki domek, a u nas metodą przemysłową zbudowałby 30 domków. Jest różnica?

## PRZYSZŁOŚĆ

Marzy mi się utworzenie z ChPB wielkiej organizacji budowlanej. Kombinat z własną wytwórnią prefabrykatów, własnym transportem technologicznym, własnymi grupami podwykonawczymi, jednostkami projektującymi, służbami inwestorskimi itd. Reprezentuję pogląd, że wytwórnie materiałów budowlanych nie mogą działać na zasadzie autonomii, odrębnie od przedsiębiorstw wykonawczych. „Lubbet” chce wykonać jak najwięcej elementów dających największy profit — tzn. był drogowskaz, a nie np. ramek do drzwi. Na brak ramek cierpi całe budownictwo.

Inna sprawa z tej łączki, to koordynacja z podwykonawcami, rzecz nieosiągalna w praktyce. Buduję przedszkole za 800 tys zł i mam 5 podwykonawców do tak małej inwestycji: muszę dowozić tych ludzi z Lublina, tracić pieniądze. Było polecenie Ministerstwa i LZB, aby zlikwidować grupy specjalistyczne w przedsiębiorstwach budownictwa ogólnego. Nie wykonałem tego polecenia świadomie. Kiedy wchodzi na plac budowy, muszę mieć ludzi, którzy mi zrobią przewidywane przyłączenie wody, podłączą energię elektryczną itd. Czy d takich drobnych spraw muszę sprowadzać ludzi z Lubelskiego Przedsiębiorstwa Instalacji Elektrycznych lub Lubelskiego Przedsiębiorstwa Instalacji Sanitarnych?

Stanisław Jadczyk

**O**SIĄGNIĘCIA ekonomiczne kraju w ostatnich latach są bezsporne, jednakże w odniesieniu społecznym ich realny efekt pomniejsza nie najlepsze funkcjonowanie tej dziedzin życia społeczno-gospodarczego, którą nazywamy usługami. Tymczasem szybki wzrost pieniężnych dochodów ludności i stałe zwiększanie się ilości wolnego czasu powodują ogromne zapotrzebowanie na tego rodzaju działalność. W ostatnim pięcioletciu wartość usług wzrosła o ponad 66 proc. Jest to wskaźnik bardzo wysoki. Rozwój usług w Polsce jest jednak opóźniony w porównaniu z innymi krajami socjalistycznymi, np. z NRD, Czechosłowacją czy Węgrami. Szczególne dysproporcje w stosunku do potrzeb odczuwamy w zakresie tzw. usług bytowych, związanych z codziennymi potrzebami człowieka. Przyczyn istniejącego stanu jest wiele. Wiemy o trudnościach lokalowych, braku wyspecjalizowanych kadr, małej inicjatywie or-

podlega WUSP, zakłady z innych „plonów” mogą przystąpić do współpracy z nim przez podpisanie odpowiedniej umowy. Tymczasem nie chcą. Dlaczego? Przecież wiadomo, że informacja, podobnie jak reklama, gwarantuje zwiększenie popytu na produkowane towary, a zatem i większe efekty finansowe. Szczególnym przykładem może być w tym przypadku Izba Rzemieślnicza, która nie podpisuje umowy i nie dostarcza wykazów informacyjnych twierdząc, że opłata na rzecz OIU jest za wysoka, chociaż wynosi ona... 36 zł rocznie od jednego zakładu!

Największym potentatem w dziedzinie usług w Lublinie stała się z dniem 7 lipca 1975 r. Wojewódzka Usługowa Spółdzielnia Pracy. Powstała ona „na bazie” Wojewódzkiej Spółdzielni Pracy „Higiena”, wyspecjalizowanej w wykonywaniu usług bytowych. O działalności WUSP rozmawiałam z prezesem Stanisławem Wlochem.

# Bieg po malarza

Bożena Siedlecka

organizacji usługowych, słabym zapasem materiałowemu, niedostatecznej mechanizacji itp.

Nie tak dawno zachłystywaliśmy się lubelskimi Targami Usług, w czasie których realizowano prawie od ręki wszystkie zapotrzebowania klientów. Miały one spełnić — i zresztą spełniły — zadania reklamowo-informacyjne. Lecz skończyły się targi i wróciła codzienna rzeczywistość. Nadal nie ma w Lublinie zakładów uspołecznionych świadczących takie usługi, jak: gorseciarstwo, plisowanie materiałów, reperacja zapalniczek gazowych i autofsyonów; nikt nie przerabia kożuchów, nikt też nie podejmuje się organizowania przeprowadzek. Z realizacją usług lokatorskich — malowanie ścian, tapetowanie, obudowywanie zlewniomywaków, kładzenie parkietów itp. — jest gorzej niż źle.

Jeżeli w ogóle spółdzielnia podejmie się wykonania niektórych z wyżej wymienionych prac, nigdy nie zgodzi się na wykonanie ich z powierzonym materiałem. Zaden zakład nie zainstaluje w łazience plastikowych płytek imitujących glazurę. Spółdzielnia stolarzy twierdzą, że powinni to robić budowlani, a ci ostatni utrzymują, że jest to wyłącznie sprawa stolarzy, którzy powinni umocowywać je na drewnianych listewkach.

W całym Lublinie po godzinie 17 nie pracuje żadne pogotowie ślusarskie, które mogłoby otworzyć zamek, nagle i nieoczekiwanie zatrzasknięty w drzwiach. Na domiar złego niejednokrotnie niedbalstwo kierowników punktów usługowych fałszuje informację o wykonywanych przez zakład usługach. Jednym z jaskrawych przykładów jest ogromny sztyl nad zakładem przy ul. Zielonej 14: „Usługi dziewiarskie i parasolnicze”. Wbrew sugestiom nikt tu już od dawna parasoli nie reperuje.

Koördynatorem informacji o usługach ma być Ośrodek Informacji Usługowej, należący do Wojewódzkiej Usługowej Spółdzielni Pracy. Ze statystyk placówki wynika, że w ubiegłym roku z jej działalności skorzystało osobiście ok. 12 tys. osób. Udzielono też odpowiedzi na 13 766 pytań telefonicznych. OIU nie ogranicza się tylko do informacji o działalności macierzystych jednostek. Chce (i powinien) informować o pracy wszystkich placówek usługowych Lublina, ale, jak wiadomo, do brymli chęćmi wybrukowano drogę do piekła. Nie ma on żadnego wpływu na wciągnięcie innych spółdzielni do rejestru jednostek, o których pracy można i należy informować. Ponieważ jak już zostało wspomniane, OIU

Spółdzielnia „Higiena” zajmowała się głównie takimi pracami, jak: porządkowanie mieszkań, tapetowanie ścian, uszczelnianie okien, montowanie karniszy, wstrzeliwanie kółków, pranie dywanów, itp. Przed WUSP wyłoniły się inne sprawy i konieczność uruchomienia nowych rodzajów usług, na które zdążyło już powstać ogromne zapotrzebowanie społeczne.

— Istniejący stan jeszcze daleko odbiega od rodzających się potrzeb, jesteśmy gotowi do wystartowania, ale jeszcze nie do rozwiązania kompleksowych — zauważył St. Wloch.

Słabe zaopatrzenie materiałowe i brak funkcjonalnego rozmieszczenia sieci placówek usługowych utrudnia zaspokojenie potrzeb klientów. Brak możliwości jednorazowego realizowania usług o charakterze pokrewnym dezorganizuje wszelką działalność. Nie ma w Lublinie zlokalizowanych blisko siebie punktów usługowych o charakterze branżowym. Gdy chcemy zacerować koszulę, wymienić kołnierzyk, a następnie uprać ją i uprasować, musimy biegać po całym mieście. W najbliższych planach spółdzielnia mniej mówi się o nowych rodzajach usług (aczkolwiek nie pomija się tego zagadnienia), częściej natomiast o potrzebie unowocześnienia sieci istniejących zakładów. Stawia się na usługi kompleksowe, a takie najlepiej organizować przez otwieranie wielobranżowych punktów przyjęć, skupionych w środku miasta. Wykonawcy usług — zakłady — powinny być zlokalizowane z dala od centrum. Tego wymaga troska o estetykę miasta. Tylko w ten sposób można będzie, przynajmniej w części, uniknąć zaśmiecania i hałasów.

W oczekiwaniu na centrum handlowo-usługowe przy ul. Hempla, powstała koncepcja utworzenia dwóch rejonów usługowych. W praktyce chodzi o modernizację ul. Zielonej, której prawa strona — idąc od ul. Staszica w stronę ul. H. Sawickiej — oddana będzie do dyspozycji WUSP z kolei przy ul. Kowalskiej otwarte zostaną punkty zleceń na usługi o charakterze branżowym. Dalszym zamiarem WUSP jest uruchomienie w przyszłości we wszystkich dzielnicach miasta ośrodków usługowych podobnych do posiadanego przez LSM. Pierwszy powstanie na osiedlu Maki.

Narzekamy na usługi, niejednokrotnie słusznie. Bądźmy jednak sprawiedliwi. U nas powstają nowe inicjatywy. Nie tak dawno uruchomiony został „dom uroczystości rodzinnych” na LSM-ie, obiekt unikalny w skali kraju. Planuje się wykonywanie usług w zakresie organizacji

pożrebów świątecznych. W byłych pomieszczeniach magazynowych spółdzielni „Ludowa” przy ul. Związkowej zamierza się zorganizować wielobranżowy zakład wystroju mieszkań. W jednej, dużej placówce zlokalizowane byłoby usługi: stolarskie — meblarskie i tapicerskie, dekoracyjno-plastyczne, remontowo-budowlane, instalacyjno-wodociągowe, gazowe oraz pracownia projektowania wyposażenia i wystroju mieszkań. Istniejące już w Lublinie niektóre oddziały specjalistyczne rozszerzą swoją działalność poprzez wprowadzenie nowych rodzajów usług branżowych, np.: naprawy drobnego sprzętu precyzyjnego, zabawek mechanicznych, zegarków elektrycznych, kwarcowych i elektronicznych, instrumentów muzycznych itp.

Znacznym ułatwieniem w nawiązywaniu kontaktów między klientem a usługodawcą jest działalność Ośrodka Informacji Usługowej. Do tej pory traktowany przez wszystkich jak przy-

słowiowe „siódme dziecko stróża”, nie mógł sprostać postawionym przed nim zadaniom. Obecnie WUSP zamierza, niezależnie od działalności informacyjnej, zorganizować tu punkt przyjmowania zamówień na usługi, biuro pisania podań oraz dział ogłoszeń. Zadaniem kierownictwa OIU powinno stać się nie tylko udzielanie informacji, ale i przeprowadzanie sondaży opinii publicznej w zakresie zapotrzebowania na usługi.

Koniecznością staje się zwiększenie rangi zawodu ludzi pracujących w usługach, wyrażające się w bardziej skutecznym stosowaniu zachęt materialnych i tworzeniu lepszych warunków pracy. Większy nacisk położony na sprawy wychowawcze, bo jeszcze bardzo często spotykamy się z niesolidnością, cwaniactwem i lekceważeniem pracy. Przykładem może być fakt wykorzystywania materiałów spółdzielni do realizowania prywatnych zamówień. Na przykład: klient oficjalnie zamawia cyklinozowanie podłogi w jednym pomieszczeniu, a okazuje się, że usługę wykonano (już prywatnie) w całym mieszkaniu. Oczywiście, że w godzinach pracy i przy wykorzystaniu materiału i sprzętu spółdzielczego.

WUSP nawiązała już kontakty z zespołami szkół CZSP w Lublinie i Puławach. Wspólnie z władzami oświatowymi będzie organizować nauczanie tak, aby przynajmniej w ostatniej klasie szkolenie odbywało się zgodnie z profilem wykonywanych usług.

Następnym warunkiem poprawy stanu usług jest ulepszenie organizacji pracy, a co się z tym wiąże — wyposażenie pracowników w lekki przenośny sprzęt. W drodze kooperacji międzywojewódzkiej oraz dzięki racjonalizacji można uporać się z tymi problemami. Już obecnie został opracowany program modernizacji sprzętu dla zakładów produkujących środki pracy, ułatwiające wykonywanie usług lokatorskich.

Jak wiadomo, stopień mechanizacji pracy w usługach jest niewielki, a baza techniczna niedostateczna. Do tej pory nikt nie pokusił się o pełne rozeznanie potrzeb nie tylko bazy technicznej, ale i szerszego rozpracowania teorii usług. Chcąc rozwiązać ten problem WUSP nawiązała kontakty z naukowcami z Instytutu Ekonomiki Produkcji UMCS. Spółdzielczość spodziewa się od nauki rozwiązania wielu zagadnień, traktowanych dotychczas w ekonomii zdawkowo.

Kamena str. 5

# DOPUST CZY NIEDOPATRZENIE?

Maciej Podgórski

**K**RUCHA, cienka i zawodna bywa powłoka cywilizacyjna, mająca nas chronić przed dopustami natury: śniegiem, mrozem, suszą, powodzią... To, co w dniach 19 — 22 stycznia stało się w Lublinie, może nie przypomina klęski żywiołowej, aczkolwiek były dni, kiedy blisko połowa ludzi w mieście siedziała w swoich mieszkaniach opatulona kożuchami i paltami. Część ratowała się włączeniem grzałek elektrycznych, zapaleniem piecyków gazowych. Gorzej, iż to był akurat okres przerwy w nauce szkolnej i dzieci od rana przebywały w domach. Ludzie kłękli, awanturowali się w administracjach, żądając zwrotu pieniędzy za wypalone nadprogramowo kilowaty i metry sześciennego gazu. Prasa codzienna podawała informacje sprzeczne i niecisłe na temat przyczyn awarii ciepłownictwa w mieście. Szczęście, że na dworze temperatura wynosi-

ła około zera stopni, inaczej mogło dojść do awarii całej instalacji ciepłowniczej czyli milionowych strat. Ze Lublin znajduje się „pod bilansem” ciepłym, wiadomo było od dawna. Program ucieplnienia miasta zakładał, iż w sezonie grzewczym 1973/74 zostanie uruchomiona na Wrotkowie nowa kotłownia. Niestety, prace wstępne na budowie rozpoczęły się dopiero w lipcu 1973 roku, zaś termin umowny przekazania do eksploatacji pierwszego kotła upływał z końcem maja br. Nie czas teraz dyskutować nad sensownością lokalizacji tej kotłowni. W każdym razie roboty wstępne zajęły prawie rok, ponieważ projekt przewidywał konieczność makroniwelacji a więc prac na wielką skalę. Jest to zresztą kolejny przykład, jak architekci i urbaniści nie liczą się z unikalną rzeźbą terenu w Lublinie, każąc zasypywać wawozy i niwelować wzniesienia. Tadeusz Wiśniewski, kierow-

nik budowy wrotkowskiej kotłowni, przedstawiciel generalnego wykonawcy, czyli warszawskiego „Betonstalu”, powiedział mi, że zamiast makroniwelacji na taką skalę można było zastosować rozwiązanie tarasowe terenu. Ale — powtarzam — nie czas teraz o tych sprawach dyskutować. Sytuację zeszłoroczną uratowała łagodna zima. Gdyby bowiem temperatura na zewnątrz spadła poniżej minus pięciu stopni, istniejące w Lublinie źródła ciepła nie byłyby w stanie zaspokoić zapotrzebowania miasta więcej niż w 70 procentach. Innymi słowy — w naszych mieszkaniach można by przeprowadzać zimny wychów tuczniaków. A dla tej strefy klimatycznej zakłada się w okresie zimowym temperaturę na zewnątrz do minus dwudziestu stopni... Wyglądało, że i tegorocznej zimy przyjdzie nam liczyć jedynie na łaskawość natury. Jednak budowniczo wie wrotkowskiej kotłowni wraz z inwestorem, Zakładem Energetycznym w Lublinie, podjęli zobowiązanie, iż pierwszy kocioł wprowadzą do eksploatacji jeszcze w bieżącym sezonie grzewczym. Wobec permanentnie nieterminowego spływu urzędów, w czym celują szczególnie Zakłady Automatyki Przemysłowej z Ostrowa Wielkopolskiego, było to zobowiązanie bardzo ryzykowne. I w zasadzie zostało wykonane. Władze miasta otrzymały meldunek, iż na 6 grudnia 1975 roku kocioł „został przygotowany do rozruchu technologicznego, co gwarantuje wprowadzenie go do eksploatacji w bieżącym sezonie grzewczym”. Treść zobowiązania była nieco ogólnikowa, ponieważ nie wynikało z niej, kiedy konkretnie popłynęło ciepło do mieszkań z nowej ko-

łowni. Tak czy owak wobec terminu umownego (koniec maja br.) stanowiło to duży postęp. I trzeba się zgodzić, iż wskutek ujemnego bilansu ciepłego miasta i ewentualnych mrozów, które zresztą w końcu nastąpiły, należało ryzykować zimną operację podłączenia nowej kotłowni do sieci, z czym nieuchronnie wiąże się określona przerwa w dostawie ciepła dla części mieszkańców. Dziesięć godzin pracowały ekipy Lubelskiego Przedsiębiorstwa Energetyki Ciepłej nad podłączeniem wrotkowskiej kotłowni i tyleż trwała pierwsza przerwa w dostawie ciepła. Następnego dnia była jeszcze czterogodzinna przerwa, potrzebna do usunięcia niewielkiej awarii docierających się urzędów. Na tych dwu dniach byłoby się skończyło, gdyby nie fakt, że zaraz potem nastąpiły dwie poważne awarie skodorodowanych rur ciepłowniczych na terenie miasta, co unieruchomiło nie tylko nową, już podłączoną, kotłownię, ale również Zakład Energetyczny. Z dwu dni zrobiło się czterodniowe nieszczęście, dla mieszkańców trudne do wytrzymania. Przerwy wynikłe z podłączenia nowej kotłowni nie mają też wspólnego z przerwami wynikłymi z awarii rur. Tyle tylko, iż zbiegły się w czasie, i to było właśnie fatalne. Teraz, kiedy nowa kotłownia już pracuje bez przerw i zasilą miasto, choć między inwestorem a wykonawcą jeszcze nie zostały załatwione sprawy jej kompleksowego przekazania do eksploatacji, można sobie to wszystko spokojnie i ostentacyjnie wyjaśnić. Lecz przede wszystkim warto pójść tropem przyczyn awarii skodorodowanych rur, albowiem ujawniają się tu mechanizmy, przed którymi należy się strzec.

**O**CZYM marzy nastolatka z zagubionej wśród pól i lasów wsi, gdy z różnych względów kończy edukację na szkole podstawowej? Danusia M. marzyła o tym, aby zostać damską fryzjerką. Oglądając telewizję, widziała wytworne salony fryzjerskie, pełne eleganckich kobiet, luster, futer, kosmetyków. Komy matki dopowiadały, że eleganckie kobiety za dobrze wykonaną fryzurę zapłacą chętnie więcej, niż to jest przewidziane w cenniku. No i gdy już posiądzie własny zakład, może nie tak elegancki jak w telewizji — ale zawsze, będzie oficjalnie mistrzynią, a dla zatrudnionego u siebie personelu szefową...

Pojechała więc do najbliższego miasta, wtedy jeszcze powiatowego a nie wojewódzkiego. Tu rzeczywistość okazała się nieco inna: tzw. nauka zawodu trwa trzy lata, początkowe wynagrodzenie z trudem wystarczy na kiao i oranzadę, a uczyć się trzeba nie w tym zakładzie, który wybierze się samemu, ale w tym, który wskaże Cech Rzemiosł Różnych.

W ten sposób Danusia trafiła do nie nazbyt wytwornego zakładu fryzjerstwa damskiego na przedmieściu. Także w czasie wstępnych pertraktacji przekonała się, że co innego teoria, o której mówiono w cechu, a co innego praktyka w ujęciu właścicielki zakładu, mistrzyni w swoim zawodzie. W cechu mówiono, że będzie otrzymywała co miesiąc skromne, bo skromne, ale co roku większe wynagrodzenie, natomiast mistrzyni orzekła, że za naukę popłatnego w perspektywie zawodu trzeba będzie już dzisiaj 15 tysięcy złotych gotówką. Danusia i towarzysząca jej matka oznajmiły, że takiej sumy nigdy wpłacić nie będą mogły, więc mistrzyni wspaniałomyślnie obniżyła wpłatę do dziesięciu tysięcy. Ale i ta suma była nie do przyjęcia, więc pertraktacje zostały przerwane.

Ponieważ jednak głupio było wracać do wsi bez załatwienia sprawy, rozmowy podjęto dnia następnego. Okazało się, że mistrzyni gwałtownie potrzebuje drugiej uczennicy, skończyło się więc na pięciu tysiącach, z tym że matka Danusi od ręki wpłaciła trzy tysiące, a pozostałe dwa miała uregulować za kilka tygodni.

Alisci zanim doszło do wpłacenia owych pozostałych dwóch tysięcy, do zarządu Cechu Rzemiosł Różnych wpłynął obszerny list od Danusi, w którym — zgodnie z przepisami — prosiła o

rozwiązanie umowy o naukę zawodu. W pierwszej części tego listu Danusia opisała owe pertraktacje na tematy finansowe, a potem także inne, chyba nawet bardziej oburzające sprawy:

*Mimo to chciała jeszcze korzystać materialnie, domagała się żeby przywozić jej kurczaki i żeby z nią się dzielić obiadami, gdyż ja musiałam sobie życie przywozić z domu na cały tydzień, bo kupować wynosiło mnie za drogo. Na początku tak było, że ja*

*przywożam jej kurę i jaja, mięso i w zakładzie korzystała z mego życia, nie raz zabrakło mi życia i sama nie miałam co do ust włożyć. Gdy do tego wszystkiego się podporządkowywałam byłam dobrą uczennicą, szefowa chwaliła mnie do klientek, brałam się do kręcenia włosów i powiedziała, że nieźle mnie to idzie.*

I być może wszystko potoczyłoby się „normalnym” trybem, gdyby nie fakt, że początkująca jeszcze uczennica zbuntowała się. Trudno powiedzieć dlaczego, chociaż można podejrzewać, że to zachłanność szefowej przekroczyła możliwości małego gospodarstwa wiejskiego, prowadzonego przez owdowiałą matkę Danusi. Gdy więc apetyt mistrzyni został ograniczony tylko do sporadycznych poczęstunków,

*szefowa była złośliwie usposobiona do mnie, zawsze się ordynarnie odnosiła, nigdy nie nie wytłumaczyła a wymaganiami miała duże, mówiła, że jestem niedomyślna, że się nie domyślam sama, jestem za powolna, że powinnam na palcach chodzić.*

Na tych palcach powinna chodzić nie tylko wokół klientek, ale i wobec szefowej. Oznaczało to nie tylko sprzatanie zakładu, co można zrozumieć, ale także mycie talerzy używanych przez szefową i drugą „starszą” uczennicę, i to zarówno w zakładzie jak i w prywatnym mieszkaniu mistrzyni. Wynikało z tego, że „nauka zawodu” przypomina raczej średnio-wieczne terminowanie. Ale nie koniec na tym. W liście można przeczytać dalej:

*W zakładzie zawsze urządzała sobie kłajpę, przychodzili do niej znajomi*

*mężczyźni z wódką i podczas godzin pracy pła alkohol zapraszając nas, uczennice, do towarzystwa. To odbywało się bardzo często, a gdy nikt nie przyszedł proponowała żebyśmy się składali na ewiartkę... Podczas pobytu mego w zakładzie nie płaciła mi ani grosza...*

Taki list musiał naturalnie wywołać jakąś reakcję. Zarząd cechu przekazał go więc sądowi cechowemu. Tu

3 lat. W uzasadnionych przypadkach sąd cechowy może — niezależnie od orzeczenia kary — wystąpić z wnioskiem o cofnięcie uprawnienia do wykonywania rzemiosła lub pozbawienia prawa szkolenia uczniów.

Dodać jeszcze warto, że może zalecić naprawienie wyrządzonej szkody materialnej i że ewentualne odwołania rozpatruje rzemieślniczy sąd odwoławczy przy Izbie Rzemieślniczej. Orzeczenia tej drugiej instancji są osta-

## SĄDOWNICTWO

trzeba przerwać historię Danusi M., a chwilę uwagi poświęcić sądownictwu rzemieślniczemu. Otóż zgodnie z ustawą z 8 czerwca 1972 roku o wykonywaniu i organizacji rzemiosła, w tej dziedzinie naszej gospodarki istnieje dwustopniowe sądownictwo wewnętrzne. Paragraf 38 wzorcowego statutu cechowego stwierdza: Członkowie cechu podlegają odpowiedzialności przed sądem cechowym za naruszenie: 1) statutowych obowiązków członka cechu określonych w § 10 ust. 1, 2) zasad etyki zawodowej lub rzetelnego wykonywania zawodu. Sformułowanie bardzo piękne — gdyby nie zasadniczy fakt, że nie istniał i nie istnieje żaden rzemieślniczy kodeks etyki zawodowej. Znaczy to, że poza skrajnymi przypadkami każdy może tę etykę zawodową interpretować tak, jak mu w danej sytuacji wygodniej. Nie wyłączając członków sądu cechowego, którzy nie mają żadnego formalnego oparcia przy rozpatrywaniu nieco bardziej skomplikowanych spraw.

Nieprecyzyjny jest również rejestr kar, jakimi dysponuje sąd cechowy. Nieprecyzyjny w tym sensie, że w żadnym wypadku nie wiąże — chociażby przykładowo — jakiegoś konkretnego przewinienia z konkretną karą, wskutek czego znów istnieje bardzo szeroki margines dowolnej interpretacji. Otóż według owego statutu sąd cechowy może orzekać następujące kary:

1) upomnienie, 2) nagana, 3) pozbawienie prawa do korzystania z określonych świadczeń cechu na okres 1 roku, 4) pozbawienie prawa wybieralności do organów cechowych na okres

3 lat. W uzasadnionych przypadkach sąd cechowy może — niezależnie od orzeczenia kary — wystąpić z wnioskiem o cofnięcie uprawnienia do wykonywania rzemiosła lub pozbawienia prawa szkolenia uczniów. Dodać jeszcze warto, że może zalecić naprawienie wyrządzonej szkody materialnej i że ewentualne odwołania rozpatruje rzemieślniczy sąd odwoławczy przy Izbie Rzemieślniczej. Orzeczenia tej drugiej instancji są osta-

Uświadomieni już nieco w „sądowych” formalnościach, wracamy do sprawy Danusi M. Na rozprawie w sądzie Cechu Rzemiosł Różnych w owym mieście mistrzyni J. C. została obwiniona tylko o to, że niewłaściwie postępuje z uczennicami zapraszając do picia alkoholu w obecności mężczyzn. O sprawach finansowych, wyłudzeniu żywności czy usługach osobistych w aktach ani słowa. Nie na tym koniec wspaniałomyślności sądu cechowego. Występuje on do Izby Rzemieślniczej tylko o pozbawienie J. C. prawa szkolenia na okres jednego roku — i na tym kropka. Chociaż nie, dodano jeszcze, że obwiniona przyznała się do zarzutów jak w orzeczeniu, czyli do owego „zapraszania do picia alkoholu”, chociaż dwa miesiące później podczas postępowania wyjaśniającego, prowadzonego z ramienia Izby Rzemieślniczej, zarówno kierownik biura cechu jak i przewodniczący cechu przyznali, że pozwana przyznała się do wszystkich zarzutów przedstawionych w skardze, że nie cieszy się dobrą opinią jako wychowawca młodzieży i że podobne zarzuty już poprzednio docierały do cechu ale brak było formalnego potwierdzenia na piśmie przez

Otóż przed laty wprowadzono w kraju nową metodę izolacji rur ciepłowniczych. Zamiast wykonywać murowane kanały oraz izolować rury watą szklaną, zasypywano je w wykopach ziemnych tak zwanym filem (a nie siłem, jak podaje prasa codzienna), mieszaniną sproszkowanego asfaltu i miazgi węglowej. Była to metoda nieco tańsza od tradycyjnej, lecz o jej zastosowaniu zdecydował głównie deficyt waty szklanej na rynkach światowych.

Pod wpływem ciepła wokół rury miała się wytopić centymetrowa warstwa płynnego asfaltu, chroniąca przed korozją, ale jakoś się nie wytopiała, sam asfalt zaś odparowywał. Woda więc przedostawała się, a ponieważ miał węglowy zawieszony siarkę, powstawał kwas siarkowy, dodatkowo wpływający na niszczenie rur w bardzo szybkim tempie.

W Lublinie posiadamy aż 20 kilometrów rur położonych tą metodą i LPEC co roku wymienia kilkukilometrowe odcinki, stosując już tradycyjną metodę. Koszt wymiany metra bieżącego waha się w granicach 2000 — 10 000 złotych. Łatwo więc obliczyć, jakie to są straty. A właśnie izolowane filem rury pękły zaraz po dołączeniu nowej kotłowni do sieci miejskiej, co przedłużyło przerwę w dostawie ciepła do naszych mieszkań.

Przy tym wszystkim okazuje się, że fil nie zda egzaminu w gruntach przepuszczalnych, na przykład w marglach, zupełnie natomiast dobrze sprawuje się w gruntach szczelnych, czyli lessach i glinach. Tak że ostatecznie nie są jeszcze dobrze znane przyczyny korozji rur układanych tą metodą. Pierwsze w Polsce eksperymentowało z filem i wdrażało go na cały kraj Stołeczne Przedsiębiorstwo Energetyki

Ciepłej. I pewnie jest teraz, iż specje ze SPEC-u niedokładnie sprawdzili nową technologię w naszych warunkach. Jeszcze nie sprawdzili, a już zaczęli wdrażać. Bardzo pouczająca historia.

Może nie wróciłbym do tej sprawy sprzed lat, skoro wojewoda lubelski bodaj pod koniec 1970 roku wydał zakaz stosowania filu jako materiału izolacyjnego, gdyby nie pewne aktualne sygnały z dziedziny ciepłownictwa, które przywodzą na myśl analogiczne mechanizmy wdrożeniowe jak w przypadku filu. Chodzi mianowicie o grzejniki płytowe, zwane też panelowymi, wprowadzane do mieszkań zamiast grzejników żeliwnych.

Grubość ścianek grzejnika płytowego wynosi 1,3 milimetra. Zakładana korozyjność — 0,2 milimetra rocznie. Czyli po sześciu latach z takiego grzejnika nie powinno zostać, zakładając nawet, iż powiędzimy w czwartym roku eksploatacji dziecko olówkiem nie zrobi w nim dziury. I otóż okazuje się w praktyce, iż dopuszczalna korozyjność wcale nie jest osiągnięta, tylko sporo mniejsza, czyli grzejniki trwalsze niż to się w ogóle przewidywało! Pod jednym wszelako warunkiem — iż latem, czy w ogóle poza sezonem grzewczym, będą stały zalane wodą.

Nie przewidziano natomiast jednego — że przy bezpośrednim podłączeniu budynków lub osiedli do miejskiej sieci ciepłowniczej, zatem przy podłączeniu bez pośrednictwa tak zwanej wymiennikowni ciepła, zmiany ciśnienia powodują zmęczenie materiału na zgrzewach i zdarza się pęknięcie grzejników. Ponadto przy takim podłączeniu nie istnieje możliwość trzymania w tych grzejnikach wody latem.

Nie chcę być źle zrozumiany — nie występuję generalnie przeciwko grzejnikom płytowym, które zresztą są instalowane zgodnie z zarządzeniem odpowiedniego resortu. Andrzej Widomski, zastępca dyrektora Lubelskiego Przedsiębiorstwa Instalacji Sanitarnych, powiedział mi, że w porównaniu z grzejnikami żeliwnymi, które posiadają wydajność 19 kilokalorii z kilograma masy, grzejniki płytowe charakteryzują się wydajnością 62 kilokalorii. Oszczędność materiału zużytego do budowy panela jest więc ewidentna w porównaniu z grzejnikami żeliwnymi. Ponadto ten pierwszy znacznie łatwiejszy w montażu, a więc i przy ewentualnej wymianie.

Chodzi mi tylko o to, by te nowe grzejniki wprowadzać po dokładnym rozpoznaniu warunków, w jakich będą pracować. Instalować je tam, gdzie istnieją wymiennikownie ciepła. Pod tym kątem opracowywać plany przyszłych osiedli i domów. Inaczej za parę lat znowu — jak w przypadku filu — możemy się obudzić z ręką w pewnym nocnym naczyniu i dojść do wniosku, iż musimy naprawiać niedopatrzania, które ktoś tam kiedyś spowodował.

Wróćmy jeszcze na chwilę do wrotkowskiej kotłowni. Otóż nieprawdą jest, że — jak pisał mylnie poinformowany „Kurier” — została ona w dniach awarii rur ciepłowniczych odłączona od sieci miejskiej, co byłoby skandalem pochłaniającym wielkie sumy pieniędzy. Raz podłączony kocioł zasila w ciepło sieć miejską do chwili obecnej, a nawet w pierwszym okresie po „czterodniowym nieszczęściu” nasze mieszkania były ogrzewane niejako na zapas, ponad normę, dla zrekompensowania

ludziom lez wylanych. I trzeba sobie powiedzieć wyraźnie, że gdyby nie wcześniejsze podłączenie tego kotła, co zawiązujemy zarówno wykonawcom jak i LPEC, to przy styczniowych i lutowych mrozach w wielu mieszkaniach ludzie szczękiliby zębami, znacznie dłużej niż przez cztery dni.

Przy tym jednak okazało się, iż nie należy składać i akceptować zbyt enigmatycznych zobowiązań, które każdy sobie może nieco inaczej interpretować. Na dobrą sprawę gdyby ten kocioł zaczął dawać ciepło miastu w ramach rozruchu technologicznego nie od 19 stycznia, lecz na przykład od 19 marca, to i tak zobowiązanie zostałoby zasadniczo wykonane, tyle tylko iż obywatela marzyłby dwa miesiące dłużej. To jedno.

Drugie — kwestia dalszej perspektywy. Termin umowy oddania drugiego kotła wrotkowskiej kotłowni upływa 30 maja 1977 roku. Nie pytałem już, czy i w tym przypadku istnieją jakies zobowiązania skrócenia cyklu budowy. W każdym razie oba kotły, ten uruchomiony i ten budowany, stanowią pierwszy etap inwestycji. Trudno mi natomiast było się dowiedzieć, co z drugim etapem inwestycji, czyli następnymi kotłami. Jeśli już dziś nie zaczniemy się do tego przysmyrzać (kwestia przygotowania dokumentacji, umów z dostawcami sprzętu...), to może się okazać, iż po skończeniu pierwszego etapu wykonawca zjeździe z budowy i prace zamrą. Podejście zaś na nowo do drugiego etapu — to nowa organizacja placu budowy, kompletowanie zatrudnienia, organizacja sprzętu budowlanego, czyli nowe niepotrzebne koszty. A nie na tym przecie polega racjonalne planowanie?...

osoby skarżące się. Skąd więc ta nadzwyczajna łagodność sądu cechowego?

Mistrzyni J. C. naturalnie odwołała się do wyższej instancji, czyli Rzemieślniczego Sądu Odwoławczego, twierdząc, że wszystkie zarzuty to intryga i zapytując retorycznie czy przez jedną taką mam stać się intruzem? Dodała także, że jest po ciężkiej operacji żołądkowej — co moim zdaniem powinno spowodować całkowitą abstenencję — i że ma na utrzymaniu tro-

bie wykonawcą w postaci majstra R. P. Oba stronom widocznie zależało na tym, aby sprawy formalnie nie ujawniać, może zresztą rzecz opierała się na tzw. zaufaniu (w co ze względu na wartość obiektu raczej trudno uwierzyć) — w każdym razie żadnej umowy na piśmie nie sporządzono, nie kwitowano żadnych wpłat czy dostarczania materiałów. Pewnego dnia wybuchła o coś sprzeczka, w trakcie której inwestor, czyli pani M. K., nazwa-

upomnienia, a więc możliwie najniższej kary.

Dla pełniejszego obrazu jeszcze jedna charakterystyczna sprawa. W całym Lublinie znany jest, głównie z dorabiania kluczy i ostrzenia noży oraz brzytew, mistrz E. P., także aktywny działacz społeczny, w tym przewodniczący Rzemieślniczego Sądu Odwoławczego.

Pewnego dnia w czerwcu ub. roku do jego zakładu przyszła pewna pani

skargę Zarząd Cechu zastosuje dalej idące konsekwencje statutowe.

Obie sprawy znalazły się w sądzie cechowym, który uznał, że klucz dla pani D. K. został wadliwie wykonany, a zachowanie się obwinionego do zleceniodawcy było nieetyczne i pozostawiało dużo do życzenia.

Jednym tchem załatwiono i drugą sprawę. Skarga S. B. nie znalazła uznania przez sąd cechowy, aby obwiniony pobral większą sumę od umówionej — ponieważ ujawnił to rachunkiem nr 374 wystawionym na żądanie skarżącego się, a na złą jakość usługi nie składał reklamacji i nie żądał poprawy. Złożone wyjaśnienia przez Ob. P. nie znalazły potwierdzenia słuszności do uniewinnienia, ponieważ obwiniony jest dojrzałym rzemieślnikiem i świadomy swych czynów, co nie powinno mieć miejsca rozstrzygnięcia przez Sąd Cechowy. Dlatego Sąd Cechowy zgodnie z art. 27 ust. 2 orzekł jak w sentencji — czyli udzielił upomnienia.

To pisane bardzo chińska polszczyzną „postanowienie” nie grzeszy równie logiką, zwłaszcza że wszystko napisane jest w jednym akapicie. Jeżeli bowiem wyjaśnienia „nie znalazły potwierdzenia słuszności”, to należało mistrza ukarać za obie sprawy, a jeżeli na „dojrzałego i świadomego” rzemieślnika składane są skargi, to należy go ukarać za wszystkie. Wątpliwości też budzi w pierwszym przypadku zastosowanie hasła „klient ma zawsze rację” jako argumentu prawnego. Sprawa zresztą nie jest skończona, w najbliższych dniach trafi do Rzemieślniczego Sądu Odwoławczego, ale już przy innej niż w Lublinie Izbie Rzemieślniczej.

Takie oto są meandry, po jakich drepcie rzemieślnicze sądownictwo. Dzieje się tak chyba dlatego, że spośród 24 cechów, zgrupowanych w lubelskiej Izbie Rzemieślniczej, ani jeden nie zatrudnia i nie angażuje chociażby dorywczo prawnika (nie mówię już o polonistach). Osobę taką zatrudnia Izba Rzemieślnicza, ale zajmuje się ona dopiero odwołaniami, chociaż na merytoryczną stronę orzeczeń czy postanowień Rzemieślniczego Sądu Odwoławczego nie ma żadnego wpływu. Podobnie jak na działalność sądów cechowych. Tymczasem w obu instancjach rzemieślniczych sądów zapadają orzeczenia, które będą co najmniej zastrzeżenia.

# RZEMIEŚLNICZE

Jerzy Dostatni

Je dzieci. Jeżeli czuła się niewinna, to dlaczego jednak na zakończenie napisala: *Nadmieniam, że dołożę wszelkich starań, aby sprawy takie nie powtórzyły się.* Dodać może warto, że potem okazało się, iż „dzieci” mają lat 16, 19 i 20.

Rzemieślniczy Sąd Odwoławczy orzekł karę w postaci zakazu szkolenia uczniów i uczenia w ciągu lat trzech. Jest to niewątpliwie stosunkowo pokaźne zaostrzenie kary, ale nie wydaje mi się, aby sprawę mimo to można było uważać za załatwioną do końca. Chyba każdy przyzna, że chodziło nie tylko o jaskrawe pogwałcenie owej enigmatycznej „etyki rzemieślniczej”, ale wszystkie akta powinny być skierowane do prokuratora. Przede wszystkim chodzi o sprawy finansowe, bo niczego tu nie zmienia fakt, że tuż przed rozprawą mistrzyni zwróciła Danucie owe trzy tysiące złotych. Zastanawia mnie również, dlaczego mimo posiadania już poprzednio sygnałów, żadna z instancji nie zaprosiła ani drugiej uczennicy, ani tych, którzy poprzednio w tym zakładzie się szkolili. Nie było również mowy o symbolicznym chociażby zwrocie wartości zjedzonych kurczaków, jaj i innych wiktualów. Jak pamiętamy, w statucie jest mowa o naprawieniu wyrządzonej szkody materialnej. Z akt nie wynika wreszcie, aby mistrzyni J. C. zapłaciła Danucie M. ustawowo przewidziane wynagrodzenie za przepracowany u niej okres.

A oto drugi spór, który toczył się w mieście powiatowym. Niejaka pani M. K. zapragnęła wybudować sobie domek jednorodzinny, znalazła więc so-

bie wykonawcą... „zasranym majstrem”. Wykonawca naturalnie obraził się, a w konsekwencji przestał budować. Do nowego pięćdziesiątka doszło w czasie rozliczeń finansowych. Spór znalazł się więc w sądzie cechowym, przed którym właścicielka niedokończzonego domu domagała się zwrotu 4500 zł, natomiast majster dopłaty 1830 złotych — dodając „wspaniałomyślnie”, że jeżeli inwestorka zrzeknie się swoich pretensji, to on także zrzeknie się swoich. Różnice zaś powstały w wyniku różnej oceny wysokości sum, przekazywanych sobie z rączki do rączki, jak również rzekomo partackiej roboty „zasranego majstra”. Ponieważ jednak nikt nie zrzekł się swoich pretensji, a dokumentów nie było, sąd — złożony przecież z fachowców — nie zarządził wizji lokalnej, nie wezwał biegłych, lecz po prostu majstra uwolnił od wszelkich zarzutów.

Oczywiście pani M. K. nie była usatysfakcjonowana i odwołała się do Rzemieślniczego Sądu Odwoławczego. W tzw. międzyczasie inspektor budownictwa Urzędu Gminnego w I. stwierdził na piśmie, że wprawdzie jakość robót murarskich była dobra, ale w trakcie budowy majster nie wstawił wszystkich otworów okiennych i drzwiowych, nie wykonał dwóch ścianek wewnętrznych w piwnicach oraz ściany przeciwpożarowej, zmienił wygląd elewacji oraz nie zastosował się do projektu w rozwiązaniu wnętrza przez co może pogorszyć się funkcjonalność całego budynku. Mimo posiadania tak obciążającego przecięż fachowca majstra dokumentu, sąd drugiej instancji udzielił majstrowi tylko

z dwoma kluczami twierdząc, że ten dorobiony został źle wykonany i nie nadaje się do użytku. Ponieważ wstępna umowa o pracę zawierała tylko ustnie, a rachunku też nie było (zresztą na tak drobną usługę nie było obowiązku wydawania go), mistrz nie był pewny, czy w ogóle robota była wykonywana w jego warsztacie. Doszło do coraz gorętszej wymiany słów i w rezultacie urażona czy też obrażona pani złożyła skargę do cechu metalowców.

Dokładnie miesiąc później do tego samego Cechu Rzemiosł Metalowych i Elektrotechnicznych wpłynęła skarga S. B. Klient ten prosił o dorobienie klucza do jakiegoś zamku i zgodzono się na zgodne z cennikiem wynagrodzenie w wysokości 35 złotych. W czasie pracy okazało się, że coś tam w zamku było popsute i mistrz, nie czekając na klienta, „samowolnie” naprawił uszkodzenie i gdy przyszło do płacenia, wystawił rachunek na 54,60 zł. Klient po sprzeczek zapłacił, ale złożył skargę — później zresztą nie zaprzeczał, że jakościowo robota została wykonana prawidłowo.

Cech najpierw wysłał do warsztatu mistrza E. P. pięcioosobową komisję. Rozmowa nie przebiegała w wesołym tonie, a komisja usiłowała mistrzowi wręczyć pisemne upomnienie, chociaż — jak wiemy ze statutu — takiego uprawnienia nie posiadała. Mistrz odmówił przyjęcia upomnienia, w rezultacie czego najpierw otrzymał od zarządu cechu pismo, zalecające mu właściwe traktowanie klientów oraz ostrzeżenie, że w wypadku dalszych

# PEDAGOG I KOMPOZYTOR

Rozmowa  
z Włodzimierzem Dębskim

**W**LUBELSKIM środowisku muzycznym nazwisko Włodzimierza Dębskiego jest powszechnie znane. Z jego osobą wiąże się istnienie Państwowej Szkoły Muzycznej II stopnia w Lublinie, jego działalność jako pedagoga-wykładowcy teorii muzyki, tj. literatury, form, kontrpunktu, folkloru, solfeżu — dała piękny owoc w postaci licznej grupy doskonałych absolwentów Liceum i Średniej Szkoły Muzycznej, później studentów PWSM, wreszcie z uznaniem mówi się o Dębskim-kompozytorze. Dla stykających się z nim na co dzień jest to człowiek szczerzy, rozmowny, czasem nawet porywczy, z wielką pasją oddający się wszelkim dysputom na temat muzyki — wiecznie młody i pełen zapału.

— Od jak dawna jest Pan związany z Lublinem i jak doszło do tego szczególnego mariażu z Państwową Szkołą Muzyczną?

— Zaczęło się to już w 1958 roku. Jako ówczesny dyrektor Państwowej Średniej Szkoły Muzycznej w Kielcach udzielałem gościny absolwentom Lubelskiej Społecznej Szkoły Muzycznej, ściśle mówiąc pod naszym patronatem zdawali oni egzaminy dyplomowe. Z tego okresu datują się także pierwsze więzy przyjaźni z lubelskimi pedagogami, m. in. z Aleksandrem Brykiem. Od 1960 r. rozpocząłem pracę w Państwowym Liceum Muzycznym w Lublinie. Co do mojego mariażu z PSM II stopnia, to mnie z pewnością trudno powiedzieć, czy należał on do szczęśliwych. Był to na pewno bardzo trudny okres zarówno w życiu szkoły jak i dla mnie, nowo przysposobionego dyrektora. Zaczynaliśmy od zera. Problemem było zorganizowanie pomieszczeń szkolnych, odpowiedniej ilości instrumentów i pomocy naukowych różnego rodzaju. Należało stworzyć grono pedagogiczne, a ja już wówczas miałem w tej sprawie duże wymagania. Trzeba było rozreklamować istnienie szkoły i zebrać sporą gromadę uczniów.

Wszystko to wydawać się może czymś naturalnym, a nawet prostym,

tak jednak w Istocie nie było. Przez cały okres początkowy towarzyszył nam brak zrozumienia. „Po co druga szkoła muzyczna” — słyszałem ciągle. Dzisiaj już wiem na pewno, że była ona i jest potrzebna. Dziś Lublin jest pięknym, stale rozwijającym się środowiskiem muzycznym i to mnie cieszy.

— Dokonał Pan bardzo wiele. PSM II stopnia stynie nie tylko z udanych uczniów i absolwentów — poznaliśmy ich na licznych imprezach muzycznych w Lublinie — ale także... z przyjaznej atmosfery w gronie pedagogicznym i wśród młodzieży. Zdrowa rywalizacja i wzajemne uzupełnianie wiedzy muzycznej instrumentalistów i teoretyków daje w efekcie pełnię umiejętności muzycznych.

— To jest naszym celem!

— Pańska szeroka działalność pedagogiczna i społeczna nie przesłoniła Panu nigdy potrzeby pracy twórczej, osobistego kontaktu z materiałem dźwiękowym. Na ogólnopolskiej antenie radiowej często można usłyszeć nagrania Pana utworów cyklicznych poświęconych obrazom malarzy polskich Malczewskiego i Szermentowskiego.

— Pierwszy cykl powstał pod wrażeniem obrazów Szermentowskiego, potem inspirował mnie Malczewski i malarze kieleccy (Grupa „W” 57), w tym ostatnim przypadku był to rodzaj muzycznej parodii, żartu (m. in. malarka Trzciska i jej „Koguty”, a więc „Mia-

ła baba koguta”). Czwarty cykl opiewał dzieła Chełmońskiego, niestety jeszcze nie był wykonywany, piąty „Lituanie” Grottingera, szósty właśnie mam na warsztacie.

— To, co mnie uderza w Pana pracach, to duża prostota i ekonomia środków wyrazu. Pisze Pan, jak gdyby z myślą o słuchacza, a nie by dać możliwość popisu technicznego wykonawcy. Przyznaje, że jest to zjawisko obecnie nader rzadko spotykane. Ale... W ostatnim czasie obiegła Lublin wieść o powstaniu Muzeum Wsi Lubelskiej. Jednym z działań jest muzyka ludowa i jej dokumentacja. Pan jako folklorysta i kompozytor, jest dość blisko z tym związany. Skąd ta słabość do muzyki ludowej?

— Już w czasie studiów w Poznańskiej PWSM zetknąłem się osobliwie ze znanym folklorystą Marianem-Jadwigą Sobieskim, który zainteresował mnie tematem, zwłaszcza że doszły do tego moje osobiste tęsknoty za polską muzyką, której w dzieciństwie mi zabroniono. Folklor fascynuje mnie także jako forma twórczości, no a ostatnia sprawa... To tak, już jest, że jeśli ktoś nie umie, albo jest nieporządnym muzykiem — wiadomo, teoretyk — to albo zostaje nauczycielem, albo folklorystą... Nieprawdaż?

Za rozmowę dziękuję

Teresa Falger

# OKO -lice SZTUKI -ki

## Pomysł Chełma

**S**ZTUKA w gminie — na takie hasło najbardziej nawet wyrozumiali i cierpliwi czytelnicy tych felietonów uśmiechną się ironicznym. Trudno. Rozumiem przecież dwuznaczność sytuacji. Niedobrą na ogół tradycję mają bowiem wyprawy z plastyką w tzw. teren. Robiło się takie akcje, mało tego, w pocie czoła redagowano całe programy upowszechniania sztuki w środowisku małych miast („i osiedli”). Elaboraty cieszyły się sympatią co niektórych przedstawicieli władz kulturalnych, a uczucie to wzrastało proporcjonalnie do liczby planowanych wystaw. Im więcej, tym lepiej. Co się ludziom pokaże i jak się pokaże — to już były peryferyjne sprawy, na które nikt nie spoglądał. Może z jednym wyjątkiem: otóż dobrze widziano propagowanie sztuki czytelnicy, lekkostrawnej, najlepiej zaś — zaangażowanej, al-

bowiem mało kto dokładnie zechciał wniknąć w sens głębszy tego określenia, zrozumieć, na czym owo zaangażowanie polega. A jeśli nawet jakiś referent wojewódzki do spraw plastyki — często postaci losowe, biegiem życiowych obrotów osadzone za biurkiem — przeczuwał treść owego pojęcia, to były to przecucia dość dziwaczne w swych praktycznych konsekwencjach.

Ludzie nie chcieli oglądać takich „popularyzujących” wystaw i mieli rację, bo były to ekspozycje miernoty. Wcale jednak nie jestem przekonany, że pokazanie w łukowskim, na przykład, domu kultury wybitnych dzieł sztuki ściągnęłoby do ponurego skądinąd lokalu tłumy widzów. Może nauczycielka sprowadziłaby przed obrazami uczniów klasy swojej, może ktoś „od kultury” pokwapiliby się na ul. Lubelską (aby odnotować nadymaną frekwencję), może... Czy to znaczy, że kultura plastyczna społeczeństwa jest aż tak niska, czy to znaczy, że w czasach kina i telewizji statyczny obraz stracił moc oddziaływania na ludzką wyobraźnię i wrażliwość? Bzdura, może to nie najlepszy przykład, ale coś w tym jest, że na ubiegłoroczną wystawę sztuki romantycznej w warszawskiej „Zachęcie” wędrowały wycieczki z odległych miast i miasteczek: z Brzeska, Białegostoku, Opoli, Kielc, Brzegu nad Odrą. Obok uczniów szkół podstawowych, liceów i techników — zdyscyplinowane jednostki emerytów i żołnierzy, obok studentów — grupy przodujących robotników. W sumie wystawę obejrzało ok. 60 tysięcy widzów, w tym 300 wycieczek; dwustu innym grupom odmówiono „akredytacji”, bo pracownicy „Zachęty” padali na twarz ze zmęcze-

nia, a lokal pękał od nadmiaru publiczności, mimo że milicja regulowała dostęp do gmachu. Bo wystawa trafiła w społeczne oczekiwania, jej treść korespondowała z mitologią i prawdą narodową, bo to było święto, ceremonia, rytuał, powszechna zgoda na proponowane wartości. Zejdźmy w gminę.

W miastach będących siedzibą władz gminnych, w ogóle w małych miastach i osadach ambitniejsze imprezy artystyczne nie znajdują większego rezonansu społecznego, albowiem są to środowiska uformowane dość przypadkowo, bez tradycji, bez żywszego poczucia wspólnoty, a co za tym idzie — bez powszechnie honorowanej skali wartości. W robocie — pół biedy, ludzkie zachowania i cele aktywności określa sam rytm produkcji, takie czy inne regulaminy, przede wszystkim zaś potrzeba zarabiania na życie. Po pracy te kompasy przestają funkcjonować, obywatele z reguły zamykają się w mieszkaniach, o życiu towarzyskim nie ma mowy, albowiem wymaga ono respektowania pewnych wspólnych zasad, wartości, manier, wymaga minimalnej wspólnoty zainteresowań przekraczających zbratanie, jakie daje adoracja półlitrowki. Smiem twierdzić, że anemii życia towarzyskiego jest jednym z podstawowych powodów nieobecności ludzi np. na wystawach plastycznych.

Zdaje się, że nie jestem odosobniony w tym poglądzie, aczkolwiek zamysły pewnej grupy ludzi, o których za chwilę, mają chyba nieco inną tonację. Oto Zenon Stachira, sekretarz wojewódzkiego Towarzystwa Wiedzy Powszechnej w Chełmie, wspomagany przez dyrektora tamtejszego Muzeum Okręgowego, Łukaszewicza, przystępuje właśnie do realizacji pomysłu o nazwie

„Gminne spotkania ze sztuką”. O co praktycznie chodzi?

W każdej z 25 gmin tego województwa chełmiańskie zamierzają organizować wystawy plastyczne. Powiedzmy brutalnie: nie nowego, znane kłęski w perspektywie. No tak, ale inicjatorzy sprawy wiążą otwarcie każdej ekspozycji z obecnością autora. Mało tego: za istotny punkt programu przyjęli urządzenie wernisaży. Z winem, rzeczą jasną, z krakersami, oczywiście. Żeby było uroczyste, odświętne, ceremonialnie. Imiennymi zaproszeniami wabić będą co znaczniejsze osobistości, nie rezygnując z obłędiania miasteczek afiszami. Oblibyli, że takich personalnych zaproszeń trzeba będzie wysłać (przeciętnie) 70—80 sztuk. Dlaczego tyle? Dlatego, że: średnio biorąc w każdej gminie mieszka 30 nauczycieli, 15 pracowników służby rolnej, kilku medyków, a ponad 20 osób trudzi się w urzędzie gminnym, w handlu, na poczcie. W nowych gminach są to często ludzie wzajemnie się nie znający, obcy, a może nawet wyobcowani. Chełmianie chcą wykorzystać wernisaże plastyczne do wstępnej integracji gminnych środowisk. Tak więc sztuka ma pełnić rolę katalizatora życia towarzyskiego, ma być nie celem, lecz środkiem do społecznie ważnego celu. Wierzą przecież, że w pewnym momencie kontakt ze sztuką stanie się dla tych ludzi celem równorzędnym. Planują zresztą równoległe „Spotkania z historią, lirą i satyrą”, mając na uwadze podobne efekty...

Zacząłem ten felieton słowami „sztuka w gminie”, a myślę, że w części diagnostycznej pasowałby on do tematu „sztuka w Lublinie”.

IJK

# dris

**W**EZ mężczyźni z wami i takowe wysmaruj fiksuare, kobiecie daj suknie na krynoline, samochodowi odejmij starter, dodaj korbę i pompkę — a będziesz miał najoryginalniejsze Retro. Retro ze znakiem jakości. Nie wiadomo dlaczego ten styl, a przynajmniej mówienie o nim, utrzymuje się jeszcze, acz zapowiadało się jako krótkotrwała moda. Nawet „Kierunki” przeprowadziły ankietę wśród pisarzy, z których wypowiedzi zdawałoby się wynikać, że o żadnej efemeryczności mowy nie ma, że gust mimo przymrużonego oka chce się na trochę dłużej zadomowić w naszej współczesności. A jeśli nie gust, to pamięć o nim.

Cóż. Nie będzie odkryciem Ameryki jeśli się powie — co zresztą znajduje się we wspólnym mianowniku wszystkich opinii na różny sposób wyrażanych — że jest to tęsknota za indywidualnością. Dzisiejszy czas tak beceremonialnie przepędza nas przez kartki kalendarza, że zaczynamy gubić swoje własne twarze. Szukamy ich w szeleście starych listów, w widoku pożółkłych fotografii, w rozsypanych się roczniku starego dziennika. W czasie kiedy wskazówka sekundnika nie poruszała sobie z nami tak bezbożnie.

A zatem — „ocalić od zapomnienia”. Ale nie chodzi tylko o nas samych. Chodzi również o architekturę. Ja np. co wieczór wznoszę modły do boga Apollina, by się jakiejś miejskiej komisji w zapędzie urbanistycznych mellowacji nie wydało, że czas najwyższy usunąć zawalidrogę, jaką jest słup ogłoszeniowy stojący na ul. Narutowicza przy nrze 12. Słup rzeczywiście może być zawalidrogą

i swoje funkcje komunikowania spełnia raczej problematycznie, poza tym stał się już — jak mówi Norwid — „w sobie pochylony”, ale zostanie mi odjęty bardzo istotny kawałek dawnego Lublina, jeśli któregoś dnia nie ujrzę go na swoim miejscu. Tak się przyzywałem do tej wierzby przydrożnej z cmentu, że nie byłbym w stanie — jak ślepiec — ustalić bez niej topografii tej okolicy.

No tak. Przecież i pamięć okoliczności towarzyszących z tym się łączy. Co miłanowicie? Kiedykolwiek w niedziele miałem zebranie wspólnie z Konradem Bielskim, odbywałem z nim po zebraniu małą perypatetyczność w tym właśnie miejscu i widniejący z pewnością oddalenia słup skłaniał do przegięcia rozmowy jeszcze bardziej ku przeszłości, jeszcze bardziej ku tradycji, jeszcze bardziej ku tym czasom, w których — daliśmy, czy tylko w naszym złudzeniu? — można było mówić o czymś tak staroświeckim jak przyjaźń, towarzyskie współdziałanie, ciekawa rozmowa pod abażurem lampy. I z tym większym sentymentem stwierdzaliśmy, że dziś coraz trudniej o ten składnik naszego życia zbiorowego. Miał rację stary Konrad. Może w nowo założonym sklepie Desy znajduje się stelaż na śródkwiłki imitujące lampę naftową, będzie może zegar z kulką, albo ozdobny lechtarz na autentyczną nawet świecę. Nie będzie żywej atmosfery tamtych lat, żywej i efektywnej, choć w samym przedmiotowym rozmiarze zjawisk ustępującej miejsca czasom dzisiejszym.

Piszę i zdaje sobie sprawę, że dziś jest dwudziestolatek idąc śladami

tych słów ani chybił pomyślił: „O czym znów bredzi ten stary Ijon”. Ze niby jeśli już w tym coś pięknego, to można jeszcze bardziej uprzyjrzeć pejzaż miejski tymi faramuskami, patrocinkami, floriturami z cementu, gipsu czy stuku już bez względu na funkcjonalność budynku i urządzenia. Natomiast rzecz w tym, że wyzwalamy się z pewnych anachronizmów stylistycznych zmierzając do coraz większej prostoty, a zatem przejrzystości, logiki i przydatności.

Drogi chłopcze, to prawda i ani przez myśl mi nie przejdzie, że tylko na skutek zaniedbania Miejskiej Komisji Planowania Gustów nie potrafimy się pod względem estetycznym zatrzymać przy czasie przeszłym i jesteśmy porwany przez coraz szybciej galopującą teraźniejszość wraz z jej uproszczonymi formami i coraz bardziej namalstwowym surowcem. Ale jak na terenie większym poszukujemy starych wiatraków, studzien z żurawiami, żaren i kołowrotków, by umieścić je w skansenie (nb. w Lublinie coraz bardziej odpytywającym ad calendae graecas), czyli muzeum dawnej wsi, tak warto pomyśleć o jakimś skansenie miejskim, który obejmie nie tylko słup z ogłoszeniami, ale i jakąś starą bramę z przedmieścia, kawałek bruku, rurę pompy z „seba delfina” (Gałczyński, Gałczyński), prety żelaznego plotu, słup elektryczny (a jeśli dobrze poszperać, to chyba i gazoweli) latarni ulicznej.

Tym bardziej, że wszystkie te szczegóły miejskiej panoramy mają

swoje — by tak inteligentnie powiedzieć — implikacje kulturowe i przechowując je zachowamy coś — by tak inteligentnie powiedzieć — z własnej tożsamości. Dość istotny dokument metrykalny czasu teraźniejszego i czasów przyszłych. Czy nie warto? Myślę, że Lublin jako miasto polskiej prowincji (przybyśnie nie omieszkała dodać sakramentalnie: „w najlepszym tego słowa znaczeniu”), też zresztą prowincji, która już wstępnie z tapety i zatracił swój obraz jeśli nie zostanie wsparta maniakalnym nawet impetem konserwatorów akurat na pole do pierwszego miejsca w kraju pod względem tych miejskich skansenów. Szarpnijmy się. Gra warta świeczki, a muzeum miejskiej „małej architektury” z pewnością nie zajmie tyle miejsca, ani nie uszczupli tyle zasobów finansowych, co muzeum wsi.

Dokumentacja. Wydaje się, że nadziedziczy czas właśnie nie sporządzanie świadectw naszej szybko zmieniającej się rzeczywistości. Tym bardziej, że Retro wykorzystawszy sesję i fin de siècle stanie się w końcu... teraźniejszością. Musimy się spieszyć z zapisami wszelkiego rodzaju, jak w wysięgu z nami śpieszy się przez nas samych poganiany czas. Ochroń, uchowaj, ocali.

A swoją drogą — słup na Narutowicza 12 chciałbym widzieć na swoim miejscu. Jak powiedziałem? Wierzę? Toć to dąb, który obrósł takimi słojami ogłoszeń, że z nich samych dałoby się odczytać ładny kawałek historii naszego miasta.

Ijon



# PRZESIEKA

## (Fragmenty poematu)

Nam nie szczodrość,  
nam nie przestrzeń pisana.  
My w tradycje Ameryki i Europy  
wnosimy swoje.  
Rosjanin zostanie Rosjaninem,  
zrzucimy z siebie ciężar  
kamieni serc, kamieni ducha.

Ja błogosławie wszystkie narody,  
wszystkie języki, ziemie i wody,  
wszystkie zwierzęta, wszystkich  
mych drogich,  
lecz przed wszystkimi tyś, Rosjo,  
najpierwsza —  
jesteś człowieczeństwem moim.

### 4.

Człowieczeństwo moje chyłkiem wchodzi do sklepu,  
kierując się początkowo ku przerośniętym ziemniakom,  
by wybrać ogromną, największą z leżących, pomarańczę,  
ale taką, by skóra w niej była najcieńsza.  
Moje człowieczeństwo porusza się taksówką,  
wygląda przez szybę z nieutajoną wyższością nad przechodniami.  
Moje człowieczeństwo to mijająca szybko przygoda.  
Moje człowieczeństwo buduje, ślusarzy, rybaczki  
i w ciemnym kącie pokoju z opuszczoną dolną wargą  
moje człowieczeństwo za kimś tam płacze.  
Ja jestem człowiekiem, ty jesteś człowiekiem, on jest człowiekiem.  
Oszukujemy siebie nawzajem, jakgdyby instynktownie  
staramy się jeden nad drugim uzyskać przewagę.  
Jeżeli ją uzyskamy, to tylko po to, by inni zyskali ją nad nami.  
Człowieczeństwo moje, dlaczego ty tak często chamskie,  
nijak nam nawet przeprosić siebie samych. Chamstwo, jak bumerang,  
wraca ku nam.  
Człowieczeństwo moje, bądź ludziom przyjazne,  
zadziw się choć raz jak małe dziecko w tłumie  
na widok słońca,  
na widok śpiewających o radości życia cyklistach, grających  
na rowerach jak Światosław Richter na fortepianie.  
Moje człowieczeństwo, nie szukaj winnych w tłumie,  
Gdy jedziesz tramwajem i stukniesz kogoś w bok,  
to jakbyś całą ludzkość naraził na uderzenie.  
Moje człowieczeństwo — to ukochane okno,  
moje człowieczeństwo — to ukochany pies  
i jeśli mam żyć to tyle, ile mi jest przewidziane,  
ale żyjąc tak, by za każdy dzień życia płacić cenę najwyższą.  
Moje człowieczeństwo drzemie na mojej dłoni,  
głowa jego na mej pierś się układa i ja wpatrując się w jego  
nieistniejącą twarz widzę, jak ono do mnie nocą się uśmiecha.

### 5.

Gdy tak gubimy poczucie realności  
tego, co jest, a jakby nie było,  
to bardzo chce się położyć,  
wyciągnąć  
tak, by nie ruszyć już ręką ni  
nogą.  
Nogą ruszyć, a nóż noga ugrzęźnie  
w błotku jakimś.  
Ręką ruszyć, a może odetną  
i co wtedy?  
Tak szepce człowiekowi jego  
wewnętrzna słabość  
i leży człowiek, ani drgnie,  
choć wszystko w nim ze strachu  
się telepie,  
bo przecież do roboty trza,  
wypić co nieco, do celu postrzelać,  
ale tak na ogół to raczej jest  
w nim

razem i umierać,  
nie jak ci, którzy,  
nie czując oddechu historii,  
wiarę tracą  
w lepsze nadchodzące jutro.

### 6.

ruch jednostajnie nijaki. Leży, leży,  
leży  
planeta przestrzenna,  
lecz już ciasno do niej, gdy tak  
wokół nie do zliczenia  
leżących ludzi — kamieniem  
sapie z wysiłku matka historia,  
huśta jak może,  
by zaraz przestać  
Leżących ludzi,  
starych idei  
historia nie ruszy z miejsca.  
Ojczyźnie obcy,  
dalecy bardzo,  
porośli mchem dziejów dawnych  
leżą gdzieś gdzie kamieniem  
stare sprawy,  
nowemu przeszkadzają.  
Ojczyzna żąda  
wciąż dalej i dalej,  
do przodu biegnie rykiem.  
raketowego silnika  
i choćby nie wiem,  
ilu nad nią mruczało  
z niezadowolaniem,  
da sobie radę, jak bywało dawniej.  
Bez niczyjej pomocy  
zerwała carskie jarzmo.  
i z ziemskiego padła przegoniła  
faszyszm,  
zrzuciła swymi mocarnymi  
dłońmi  
innych tragedii skały.  
Skazani jesteśmy, czy zło czy dobro,  
być razem, żyć razem.

Przez całe swe życie  
nie znoszę biurokratów,  
wojuję z nimi,  
choć silniejszy ode mnie,  
lecz nienawidzią  
do porośniętych ze starości mchem  
nie chciałbym brudzić  
swej miłości do ojczyzny,  
choć czasem musi pisk  
mylić się może  
z okrzykiem bohatera.  
Niech głośno woła „Ojczyzna” ten,  
kto co chwila w ojczyznę  
gotów się przemienić.  
Widziałem wiele tchórzostwa i zła,  
lecz wiara ma w dobro, nie zło.  
Ojczyźnie swojej wszystkie słowa  
dają jak skarb,  
ojczyźnie mojej samego siebie daję.

### 7.

Z Syberii do Londynu rzucił mnie  
nieublagany czas.  
Idę do wydawcy, mówię tak i siak:  
„Mam tu książkę Rasputina,  
żywy talent,  
nasz chłopak, Sybirak”.  
Spytał wydawca w koktajlu  
mieszając lód:  
„Rasputin? Który to? Może krewny  
tamtego?”  
„Nie”. „Szkoła,  
u nas bez publiczności nie pójdzie”.  
Oczy senne wydawcy, senne cały  
czas,  
przez chwilę zabłysły mgiełką  
pożądania:  
„Powiedzieliście, że on na Sybirze?  
Wybaczcie pytanie — a za co?”  
„Urodził się tam”. Uśmiešek  
u tamtego  
wciąż igra w kąciku ust.  
Scisnąłem szklankę, że omal  
nie pękła:  
przede mną siedział żywy kamień,  
porośnięty bardzo starym mchem.  
Myślę, że tamten w chęci sporu  
przesadził  
jak gdyby nie widział buldozera  
historii,  
który już od dawna skutecznie  
rozgniatał  
leżące kamienie „zimnej wojny”.  
Ja wiem, wam myśl o Rosji serca  
załam ścisła,  
jak gdybyście nie widzieli  
tuż obok

gniotącego wasze pierś ciężaru  
Ulsteru.  
Uczyć nas chcecie wolności,  
proszę, macie lekcję  
niezaprzeczalną —  
na gardle moich chilijskich  
towarzyszy  
faszysm swój but postawił twardy.  
O to się martwicie, o ziemię,  
jej przyszłość,  
a nasz własny ogródek —  
naszą troską.  
Kamienie usuniemy sami.

### 8.

W tajdze nad Kunermą  
rdzewieją ciężkie kamienie.  
Policzki mego szejfa  
omal nie pękają z wysiłku.  
Podłożył pod kamień belkę.  
naciska, belka pęka  
nie ma drugiej,  
kamień ani drgnie,  
kamienie jak gdyby na złość.  
A tu czekają  
samochody, żywność, herbata,  
zapalki, wiersze.  
Na wielu stołach zamiast obrusów  
porosło mchem,  
nie tylko ze złości  
walić wokół pięściami.  
U wielu jeszcze miast mózgów

Mój szef pędzi na nim jak wicher,  
zrzucił kamień w rzekę,  
zrzucił ciężar z siebie  
za siebie w dal.  
W moim szefie  
echo puşkinowskich strof,  
w nim rdzewieła stal okowów,  
dekabrystów  
z nimi związane wstążki  
marynarskich czapek  
ze słową burlaków.  
Jakkolwiek byście go ciągnęli,  
on nie do rozzerwienia,  
mocno w żyły ma wszyte nici  
czerwonego sztandaru,  
nici krwi, potu i lez,  
mocna twierdza naszego ciała.  
Wnętrze jego też nie do zdarcia,  
zszycie zębami żołnierzy  
wielu frontów wojny ojczyznianej.  
Nasz chłopak smoleński, co nos  
miał zadarty,  
nie patrząc na niewielki wzrost  
jak gdyby nie widział uśmiezków  
niewiary  
wprost z ziemi wdarł się do gwiazd.  
Aurorą i Majakowskim narobiliśmy  
w świecie zamieszania,  
ciągniemy planetę przez wiatry  
i mrozy,  
bez części zapasowych.  
Kamień leżący się podda,  
gdy nie poddasz się sam.  
Tu budujemy przyszłość,  
tu się buduje BAM.

### 9.

Kolejowego podkładu drzewo  
drzewem pozostaje  
choćbyś nie wiem jak bardzo  
chciał,  
Trawa na nim nie urośnie,  
lecz wystarczy, by upadła nań  
choć jedna twoja łza, drzewo  
ożywa.  
Szyny stal jest tylko stalą,  
lecz gdy uchem przyłożonym  
łowiś daleki stukot,  
cieplem swego ucha ogrzejesz stal,  
to szyna ta w jednej chwili jest  
już twoja.

### 10.

Obywatele — pasażerowie  
przyszłości  
zapijający portwinem widok  
na tajgę,  
wspomnijcie nas, którzyśmy ułożyli  
wasz loskoczący wspaniały czas.  
Zrozumiecie może, jak nam trudno  
było  
w zmarzniętej ziemi budować  
cokolwiek,  
nie słuchając jej niezbyt  
przyjaznego śpiewu.  
A gdy wyświetlali nam film jakiś  
bdurny,  
komary przeprzyżały nasze spodnie,  
życie nasze szło ciężką, niezbyt  
prostą drogą  
ku naszym potomkom,  
ku przyszłości naszej.  
Zejdziemy ze starych fotografii,  
gazetowy retusz wyrzucimy  
w diabły.  
Bywało, padaliśmy pół-martwi,  
czasu nie było na butów zdjęcie,  
lecz ściegiem Czapaiewskim z serii  
maszynowego karabinu  
kładła się szosa na pierś tajgi.  
Są prostsze drogi, głupszy prorocy,  
kto lżejszą drogą, ten często  
nie wraca.  
Świadomość drogi nie w samej  
drodze,  
lecz w tym, ku czemu ona  
prowadzi.  
Potomni — zapamiętać to wam  
nie gaszkodzi,  
musicie leżące kamienie podnieść,  
kamienie, których myśmy podnieść  
nie zdążyli.  
Wy już nie zaznacie kłopotów  
naszych  
i chwala Bogu  
nie będziecie musieli wyciągać  
ugrzęzłych w błocie  
ciężarówkę.  
Lecz nie zapominajcie, potomni,  
gdy będziecie budować drogi,  
że myśmy byli drogą dla was.  
Spośród nas wielu nie wiedzielo,  
co to epoka i wieczność.  
Myśmy pierwszą przesięką  
wielkiego lasu człowieczeństwa.



Fot. Archiwum

Trasa BAM — Londyn — Moskwa  
wrzesień — grudzień 1975  
Przekład:  
Aleksander Rozenfeld  
 („Litteraturnaja Gazeta” nr 1,  
1976 r.)  
BAM — Bajkalsko-Amurska  
Magistrała.





**W**IOSNĄ bieżącego roku mija 90 lat od otwarcia Teatru w Lublinie w nowo wzniesionym budynku, wystawionym według projektu warszawskiego architekta Karola Kozłowskiego. Warto z tej okazji przypomnieć kilka faktów.

Inicjatywa wzniesienia własnego budynku teatru datuje się od około 1977 roku i jest głównie zasługą prezesa Lubelskiego Towarzystwa Dobroczynności, Romana Okulicz-Kozaryna. Przy poparciu władz miejskich do współpracy przy tym przedsięwzięciu włączeni zostali trzej lubelscy architekci: Aleksander Zwierzchowski, Bolesław Orłowski i Ludwik Szamota, u których zamówiono odpowiednie projekty.

W roku 1880 poczyniono dalsze kroki. Pod jego imieniem lubelskich przemysłowców, braci Adolfa i Juliusza Fricków, budowniczy Jan Junczys. 13 lutego 1882 roku ogłoszony został konkurs na projekt „Gmachu Teatru i Resursy w Lublinie”. Organizatorem był Jan Junczys, koncesjonariusz Teatru. Do sądu konkursowego zaproszono dziewięć osób z Warszawy, w tym sześciu architektów oraz trzech przedstawicieli władz budowlanych. Z Lublina wzięło w nim udział czterech architektów i budowniczych: L. Szamota, M. Jarzyński, J. Junczys oraz J. Majewski, a także prezydent miasta Henryk Woliński oraz F. K. Martynowski — publicysta i krytyk architektury.

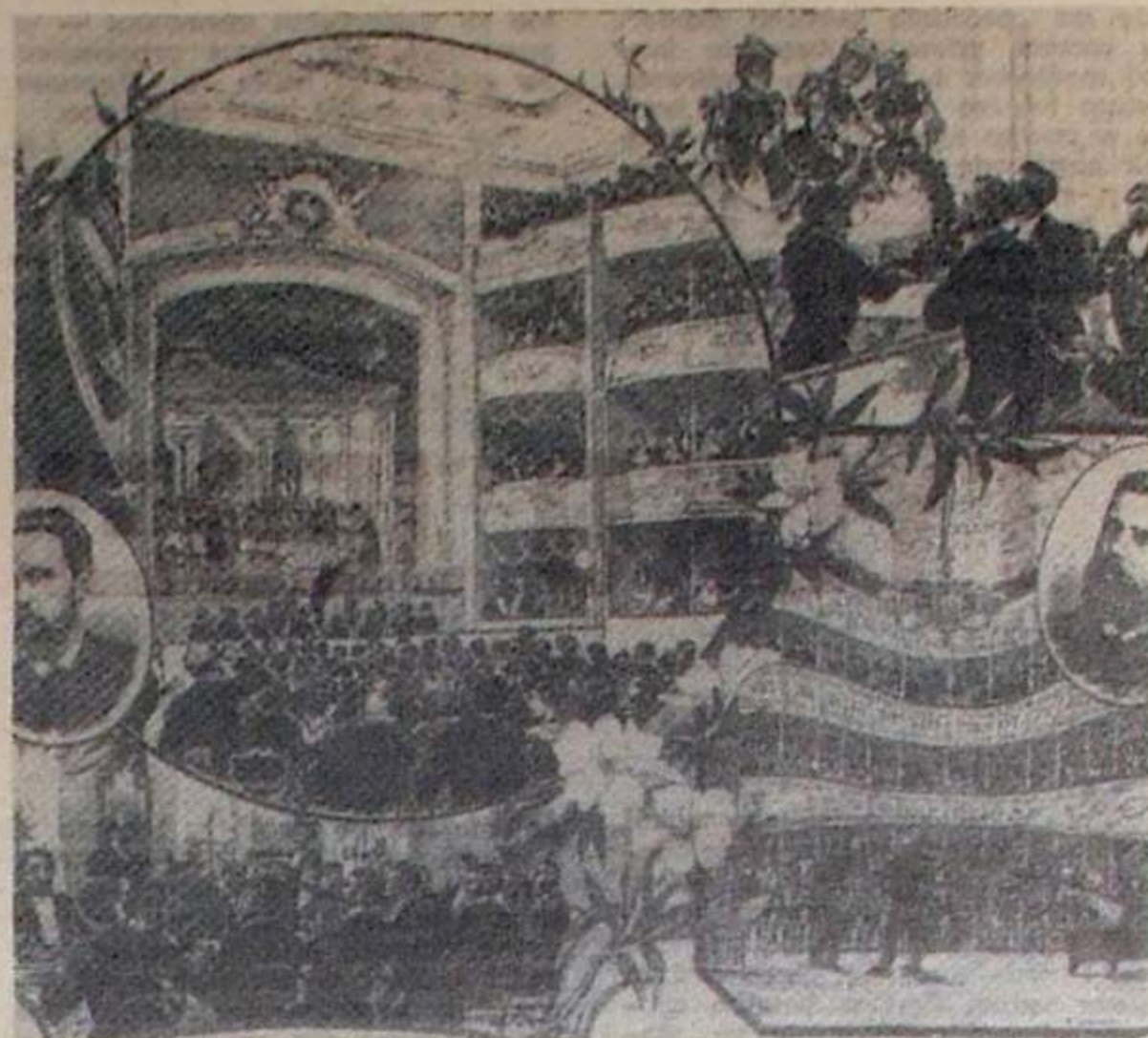
Na konkurs nadesłano sześć prac. Pierwszą nagrodę uzyskał jeden z dwóch projektów Karola Kozłowskiego, drugą — projekt A. Jabłońskiego, M. Osuchowskiego i S. Szyllera, a trzecią — E. Goldberga z Petersburga. Projekt Kozłowskiego, utrzymany w duchu architektury eklektycznej, uznano za najlepszy i choć był krytykowany przez konkurentów, wytypowano go do realizacji.

Budowę rozpoczęto w roku 1883, a kierował nią budowniczy Marian Adam Jarzyński. Prace murarskie powierzono majstrowi Stanisławowi Sadzikowskiemu, ciesielskie Kazimierzowi Danielskiemu. Niespełna trzy lata potem, 6 lutego 1886 roku, odbyło się pierwsze przedstawienie. Kończono jeszcze wprawdzie roboty zewnętrzne, ale wnętrze było już gotowe. Prezentowało się ono okazałe, ozdobione typową dla tego okresu, bogatą dekoracją sztukateryjną i malarską, umieszczoną na suficie i ścianach oraz na czterokondygnacyjnych łozach. Na suficie w medalionach na ciemnym, kontrastowym tle przedstawione zostały postaci lub godła sztuk pięknych. Parapety łóż wyposażono w złoczone sztukaterie, a ściany pomalowano kolorem „pompejańskim” czerwonym. Na środku sufitu zawieszono wspaniałe żyrandol o 40 płomieniach gazowych. Na widowni ustawiono dwieście krzesel-fotelii w „amerykańskim” stylu.

Wśród wykonawców wnętrza znajdowali się również rzemieślnicy

# 90 LAT W SŁUŻBIE MELPOMENY

Alicja Kurzątkowska



Otwarcie teatru lubelskiego, wg. „Tyg. Ilustr.”, 1886, rys. J. Konopacki (w medalionach podobizny braci A. i J. Fricków)

warszawscy, a wśród nich Feliks Teplicki, który wykonywał malowidła, oraz Stanisław Cyrankiewicz, urządzający scenę. Dekoracje teatralne oraz kurtyna były natomiast dziełem Naramowskiego i Sandeckiego. Na kurtynie wymalowany został fragment Lublina, przedstawiający najbardziej charakterystyczny jego fragment z Krakowskim Przedmieściem, Bramą Krakowską i budynkiem Magistratu.

Budowa finansowana była częściowo z funduszy prywatnych, częściowo z Kasy Miejskiej. Jeszcze w roku 1884 powołana została — z udziałem braci Frick — spółka cywilna pod nazwą „Teatr Lubelski”, w której rękach spoczywało prowadzenie całej inwestycji. W 1921 roku spółka przekazała gmach miastu. W tym też roku budynek został odnowiony, przy poszanowaniu wszelkich jego artystycznych i historycznych walorów, pod kierunkiem architekta miejskiego Ignacego Kędzierskiego. Pietyzmowi przeprowa-

dzonej wówczas konserwacji zawdzięczać należy zachowanie w autentycznej postaci tego cennego dla historii architektury polskiej drugiej połowy XIX stulecia obiektu.

Architekt Karol Kozłowski był jednym z czołowych przedstawicieli eklektyzmu końca XIX wieku. Mimo iż jego studia w Monachium i paryskiej Ecole de Beaux Arts nie są potwierdzone, nie bez wpływu na jego twórczość pozostał dłuższy pobyt we Francji, gdzie kontynuował naukę. Studia architektoniczne w kraju pobierał u architekta wiersnego tradycjom klasycyzmu, znanego także z realizacji w Lublinie, Juliana Ankiewicza. Po zdaniu egzaminu otrzymał tytuł budowniczego I klasy (w latach osiemdziesiątych) i rozpoczął samodzielną praktykę.

Jego pierwszą wielką realizacją był właśnie gmach teatru w Lublinie. Już w tym projekcie, tak jak i w wielu następnych, przebiega charakterystyczna dla Kozłowskiego tendencja do czerpania z tradycji

architektury renesansowej, zarówno w zakresie kompozycji jak i liczących detali architektonicznych. Wśród budynków zaprojektowanych przez Kozłowskiego, który był bardzo czynnym architektem, powstawała w Warszawie. W Lubelskim, poza teatrem zaprojektował i zbudował kilka obiektów w Nałęczowie a wśród nich „zakład kąpielowy przy źródłach żelaznych”.

Tylko jednak w dwu dziełach talent Kozłowskiego wypowiedział się najpełniej i były to dwa przedsięwzięcia teatralne: właśnie scena lubelska oraz gmach Filharmonii przy ulicy Jasnej w Warszawie. Te dwie realizacje były zresztą wyznacznikami twórczości Kozłowskiego: teatr w Lublinie jako jego pierwsze monumentalne dzieło, filharmonia w Warszawie — jako ostatnia praca. Kozłowski zmarł zaraz po jej wzniesieniu, w czerwcu 1902 roku.

Filharmonia w Warszawie była najwybitniejszą kreacją Kozłowskiego. W układzie jej sali, która odznaczała się wyjątkową akustyką, wzorował się Kozłowski na lipskim Gewandhaus. W architekturze zewnętrznej widoczny był natomiast wpływ Opery Paryskiej.

Obydwie teatralne realizacje architektoniczne Karola Kozłowskiego, choć skala ich była różna, uznano za udane i atrakcyjne. Chyba nie bez wpływu na ich walor artystyczny i funkcjonalny pozostawał fakt, że Kozłowski, członek Spółki Artystycznej Malarzy, Rzeźbiarzy i Budowniczych, zwanej „Salonem Artystycznym”, sam uprawiał także muzykę i malarstwo. Niestety, żadna z jego budowli w Warszawie, łącznie z Filharmonią zburzoną już w roku 1939, nie przetrwała drugiej wojny światowej.

Teatr w Lublinie, jako pełna i prawie nieprzekształcona (poza foyer „unowocześnie” w 1967 roku) realizacja Karola Kozłowskiego oraz jedyna zachowana jego widowńia, ma szczególne znaczenie dla historii polskiej architektury teatralnej. Niezależnie od tego przez zastosowanie wprowadzonych właśnie w XIX stuleciu nowych urządzeń technicznych, teatr lubelski zajął poczesne miejsce wśród nowoczesnych scen nie tylko w Polsce.

Teatr lubelski jest wcześniejszy od Teatru Miejskiego im. J. Słowackiego w Krakowie, wzniesionego w latach 1891—1893 według konkursowego również projektu architekta Jana Zawiejskiego. Realizacja Zawiejskiego wzorowana jest wyraźnie na teatrze lubelskim, co przejawia się nawet w ukształtowaniu elewacji.

Teatr w Lublinie zajmuje także ważne miejsce w dziejach naszego miasta jako przejaw szczególnego ożywienia życia kulturalnego w ostatniej ćwierci XIX stulecia. I to nie ograniczonego jedynie do elity „ziemiańskiej i obywatelskiej”, lecz wychodzącego do szerszych środowisk.

## ANDERSEN NIEZNANY

Hanna Matuszewska

**O**DESZŁA już w rok 1975 setna rocznica śmierci Andersena, mimo to echa jej powinny jeszcze trwać długo. Tak długo, dopóki fenomen twórczości wielkiego Duńczyka nie doczeka się wreszcie u nas właściwego potraktowania. Mam na myśli brak osobnego studium literackiego, które dokonując wszechstronnej, prawdziwie głębokiej analizy baśni, powodowałby odejście od stereotypu ocen, jaki autora „Królowej Śniegu” wciąż przesładuje.

Książka Marii Kureckiej pt. „Jan Christian Andersen” (PIW 1965) jest, jak dotąd, jedyną poważną pracą o życiu i twórczości duńskiego poety, podkreślając (nie przesadnie zresztą) związek tej twórczości z jego osobowością oraz biografią, ale przede wszystkim książka jest próbą obalenia mitu o Andersenze jako o dobrotliwym autorze dla dzieci.

Miał zaciążyć na opinii współczesnych i potomnych fakt, że autor „Baśni” dawał w podtytule słowa: „Opowiedziane dla dzieci”, nawet wtedy, gdy z pełną świadomością adresował swoją twórczość do dorosłych. Wprawdzie „rehabilitowano” Andersena stwierdzając otwarcie, iż jest autorem pięknych, mądrych baśni dla dzieci, które chętnie czytają też dorośli, ale... to właśnie ów stereotyp wspomniany wcześniej. Pokutuje on, skutecznie utrwalany przez różne adaptacje teatralne bądź filmowe, przypisujące baśniom Andersena (z racji gatunku literackiego?) walor naiwności. Zwiedzeni klarowną prostotą fabuły adaptatorzy odsuwają na dalszy plan „niewygodną” dwuznaczność metafor, czy chociażby „nie-dziecięcy” (=nie pedagogiczny?) pesymizm podający na ogół tzw. „szczęśliwy koniec”.

Czy można jednak dziełom literatury odbierać to, co istnieje w nich z wielką siłą, a stanowi o ich wartości intelektualnej i artystycznej? Prawdą jest, że Andersen bywa naiwny, bywa

rzewny, a także wielu bohaterów obdarza ewangeliczną prostotą ducha, ale z pewnością Andersen nie jest ani naiwny, ani rzewny, ani prosty. Przenika w jego baśnie sentyment, jaki miał dla spraw miłości, przyjaźni, wierności, w ich realizacji widział spełnienie się człowieczeństwa. Wielokrotnie poszukiwał poetyckiego wyrazu śmierci. Pisał o wielkości i o małości, królestwie serca i królestwie śniegu. Jego metafory zastanawiają niezbadaną dotąd wielością znaczeń, a humor mnogością odcieni. Ironia, żart poetycki, satyra niepostrzeżenie nobilitowały sam „tatunek baśni”.

Dostrzegamy też niezwykle teatralność Andersenowskich tekstów w sposobie ożywiania „martwej” materii, w niezrównanej łatwości nadawania poetyckich znaczeń zwykłym przedmiotom realnej rzeczywistości, które ze stanu „spoczynku” przechodzą do czynnego (żywego) udziału w kreacji świata.

Piszę o tym wszystkim pod wpływem nowego wydarzenia artystycznego, jakie ma miejsce w Lublinie. Jest nim spektakl Teatru Lalki i Aktora „Królowej Śniegu”, w inscenizacji i reżyserii Włodzimierza Felenczaka. Scenariusz „Królowej Śniegu” napisała znakomita tłumaczka baśni Andersena, Stefania Beylin, dochowując — rzadko

w adaptacjach spotykanej — wierności tekstowi oryginalnemu.

„Królowa Śniegu” Włodzimierza Felenczaka jest przedstawieniem niezwykłym, szokującym, objawia nam bowiem Andersena, jakiego do tej pory nie znaliśmy. Od początku do końca widowisko ma kształt metaforyczny, wydobywa na jaw ukryty, podskórny język baśni, który w przedstawieniu znaczy na równi ze słowem, z akcją. Otóż istnieją w spektaklu dwie, pozornie nie mające związku, rzeczywistości. Jedną realizuje się w akcji dramatycznej z udziałem lalki i aktora, a druga w głębi sceny na ekranie, który wypełnia projekcja różnych obrazów. Obrazy te pełnią w sztuce funkcję filozoficznego (reżyserskiego) komentarza, przy czym sprawiają, że wespół z innymi, nowatorskimi elementami widowiska, teatralna baśń o Kayu i Gerdzie nabiera nowych znaczeń, urasta do rangi mitu o naszych współczesnych, drażni pesymizmem, ale pobudza do myślenia.

Andersen odczytany głęboko, dojrzałe i nowoczesne. Andersen wpisany w wizję teatralną artysty i — oto zaczynamy tracić całą poufałość, z jaką obcowaliśmy z pisarzem do tej pory.

Tak, bo to na taką poufałość mogą sobie pozwolić tylko dzieci. Dla nich przeznaczył czarowny szatań, a dla nas — prawdę.







czas. 2552/1976/4

# EDWARD LUTCZYN

**D  
W  
A  
R  
D  
  
L  
U  
T  
C  
Z  
Y  
N**

**LAUREAT  
ZŁOTEJ  
I BRĄZOWEJ  
SZPILKI  
REDAKCJI  
»SZPILEK«  
ZA ROK  
1975**

Jerzy Leszczyński

## POLICJANCI I ZŁODZIEJE

Rzekł złodziej do policjanta:  
— Wszyjemy z tej samej gliny.  
A policjant do złodzieja:  
— Lecz nie z tej samej doliny.

## O PRZYSŁOWIACH

Są mądrością narodów, póki  
nie wezmą się narody do nauki.

## ŻYCIE W STARYM SĄCZU

Sący się tu dzień jak co dzień,  
wszystkie dni jak jeden są;  
czasem tylko ktoś w gospodzie  
powie sobie: Stary, są c z...



# BEZ TYTUŁU POWIEŚĆ CZYTELNIKÓW »KAMENY«

(1)

Kawiarnia była zamknięta na cztery spusty.  
— Co się dzieje? — zapytał Zygmunt portiera. — Przecież dzisiaj sobota, ludzie chcieliby potańczyć.  
— A tańczą, tańczą. W remizie... — Portier nachylił się poufale.  
— I dlatego nie można tutaj nawet napić się kawy?  
— Zawaloczy nie powinni pić.  
— Przepraszam, czy u was nie o tej porze nie funkcjonuje?  
— „Zdrojowa”. Muszą państwo przejść przez park.  
— Dziękuję. Jakoś tam trafimy.  
Ujął Elżbietę za ramię. Przytuliła się do niego z cętej sily.  
Stary park był pusty. Śnieg skrzywił pod nogami. Stał pod drzewem.  
— Pocatuj mnie — powiedziała. — Pocatuj mocno. Zdjął jej z głowy kolorową czapkę i pogładził włosy.  
— Chciałbym tę chwilę przemienić w wieczność. Dlaczego ciebie tak kocham? Dlaczego właśnie ciebie?  
— Cicho! Nie mąć Prusowi spokoju.  
— Blisko jest też Zeromski. Czytałeś „Popioły”?  
— Nie. Byłem na filmie.  
— Na film nie zdążyłam. Przeleciał nie wiadomo kiedy. Pocatuj!

— Zjadłbym ciebie.  
— Nie mów tyle. Catuj! — Przywarła do jego ust. Spłoszyli się, gdy usłyszeli jakieś głosy.  
— Pójdę do kierownika uzdrowiska. Przecież nie można z ludzi robić balona!  
— Daj spokój! Należyczo to nie Warszawa. Tutaj ludzie przyjeżdżają odpocząć.  
— Już mam dosyć tego spokoju. Można oszaleć z nudów.  
— To skoczmy do „Zdrojowej”.  
— Oni też... — powiedziała Elżbieta. — Chodźmy... W restauracji były wolne dwa stoliki.  
— Możemy zająć jeden? — zapytał Zygmunt kelnerki.  
— Proszę. Ale muszą państwo wykupić karty konsumpcyjne. Mam jednak kłopot z kieliszkami.  
— Przepraszam. Z czym? — Wydało mu się, że się prześliznął.  
— Z kieliszkami. Państwo myślą, że tak łatwo u nas kupić kieliszki?  
Zygmunt spojrział na Elżbietę i wybuchnął niepohamowanym śmiechem.  
— Zwarowali. Normalnie zwarowali!  
Przy sztalni sprzedawano karty konsumpcyjne. Nazywano to się tak szumnie, a w istocie było zwykłymi kartkami maszynopisu.  
— Sto złotych od osoby. Dla państwa dwie karty? Razem dłuścieście złotych.  
Zygmunt zawałił się. Elżbieta szybko ta zauważyła.  
— Pozwól, ja zapłacę...  
— Tyle pieniędzy...  
— Przyjechalśmy, aby trochę potańczyć. Pociąg powrotny mamy przed jedenastą. Nie przejmuj się forszą.  
— Przestań... — Wyciągnął z portfela 150 złotych, w kieszeni marynarki znalazł resztę drobniakami.  
— Najwyżej zapłacisz za mój buiet powrotny... — uśmiechnął się. Wyglądał jak bezradne dziecko.  
Zamówili ciastkę i sadzińskiego kontaktu, dwie wody mineralne i dwa ozorki. Kelnerka przyjęła zamówienie. Orkiestra grała tango.  
— Zatańczymy? — zapytał.  
— Później. Na razie wolalabym z tobą posiedzieć. Tak mało zostaje czasu na rozmowę... — Poglądziła mu rękę.  
— Wiesz, tyle myślę na nasz temat i czasami dochodzę do wniosku, że to wszystko nie ma żadnego sensu.  
— Znowu zaczynasz...  
— Przecież jestem od ciebie aż o cztery lata starsza...  
— No tak. Będziesz mi teraz wymawiać, że dopiero robię maturę...  
— Głupia. Czy ktoś z nas ma wpływ na datę swoich urodzin?  
— Oczywiście, że nie. Ale ty kończysz w tym roku studia, a ja szkołę średnią. Zresztą nawet nie wiem, czy otrzymam maturę. Ta matematyka żyć mi nie daje. Przez

nią zimowałem dwa lata w tej samej klasie... Wiesz, boję się...  
— Czego?  
— Ze jak już będziesz miała ten dyplom, to nie zechcesz na mnie spojrzeć. Pani magister i ja, gówniarz przy tebie...  
— Nie wyrażaj się. Nie lubię tego!  
— Przepraszam. Ale tak jest naprawdę.  
Kelnerka postawiła przed nimi napętnioną do połowy półtorówkę.  
— Dobrze, że państwo tylko we dwójkę. Udało mi się zdobyć dwa kieliszki, choć każdy z innej parafii. Smacznego.  
Wypili.  
— Zygmunt, powiedz, co będzie z nami dalej? Rodzice chcą, abym po skończeniu studiów wróciła do nich.  
— Do Iwonicza? A cóż tam będziesz robić?  
— Nie wiem. Ale ja sobie nie wyobrażam życia bez ciebie. Ile my się już znamy? Popatrz, w przyszłym miesiącu będziemy obchodzili rocznicę.  
Cofnęła się myślami. Dobrze pamiętała tę prywatkę, na którą tak bardzo nie chciała pójść. Halaśliwe towarzystwo i umizgi Mirka denerwowały ją okropnie. W pewnym momencie zjawila się Daśka, koleżanka ze studiów.  
— Mój chłopak nawalił — oświadczyła. — Przeprowadziłam jednak ze sobą braciśzka. Nie macie nic przeciwko temu? Ela, zajmij się nim. To jeszcze dzieciak, choć trochę wyrosnięty. A ja tymczasem porucę Mirka.  
Była przyzwoitą do rzadzenia. Mirek, acz niezbyt chętnie, dał się wprowadzić do drugiego pokoju, gdzie ryczał magnetofon.  
Uśmiechnęła się teraz na wspomnienie tamtych pierwszych chwil ich znajomości.  
— Czekaj — zapytała — jak tyś powiedział tego wieczoru? „Będiesz moją pierwszą dziewczyną”. Miałaś raptem Ładny dzieciak, nie ma co!  
— A tyś się obruszyła i przez godzinę nie chciała ze mną rozmawiać.  
— Zartowałam... Ciagle jednak nie mogę uwierzyć, że rzeczywistość byłam tą twoją pierwszą...  
(cda)

Z dwudziestu kilku propozycji nadesłanych przez naszych Czytelników wybraliśmy tę, pióra Jerzego Wojtkiewicza z Puław. Do 27 lutego czekamy na dalszy ciąg powieści-zabawy. Przypominamy, że pisać może każdy. Za zamieszczony tekst płacimy normalne honorarium. A więc co dalej z losami Elżbiety i Zygmunta? Sami jesteście ciekawi. Nasz adres: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231. (Powieść Czytelników).